



Na wyspie szczęśliwej

Susan Wiggs



Rozdział 1

Mitchell Baynes Rutherford Trzeci niczego nienawidził tak bardzo, jak lekceważenia umówionych spotkań. Na widok ostatnich pasażerów opuszczających prom z Anacortes zacisnął zęby i zaczął nerwowo przechadzać się tam i z powrotem. Obok kei przemknęła patrolowa motorówka. Na przystani kłębił się tłum hałaśliwych dzieci i ich rodziców, którzy byli już wyraźnie u kresu wytrzymałości. Do portu przybił niewielki stateczek przewożący grupę studentów. I tyle.

Przez ponad godzinę sierpniowe słońce bezlitośnie prażyło Mitcha, gdy tymczasem specjalista, którego oczekiwał, w ogóle się nie zjawił.

Zatrzymał się, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej telefon komórkowy. Pospiesznie wystukał numer swojego biura w Seattle, zastanawiając się, czy uzyskanie połączenia z wyspy w ogóle będzie możliwe.

- Rutherford Enterprises - usłyszał znajomy głos - w czym mogę pomóc?

- Pani Lovejoy? Ten doktor Galvez, czy jak mu tam, nie pojawił się...

- U mnie wszystko w porządku, a co słysząc u pana? - odparła z premedytacją sekretarka.

Zmarszczył czoło, gdy zauważył starego volkswagena, który spowity w kłęby dymu ze spalin, jako ostatni wytoczył się z promu. Przez uchylone szyby rozchodziły się głośnie dźwięki salsy. Mitch zakrył dłonią ucho, żeby móc spokojnie prowadzić rozmowę.

- Przepraszam, że w ten sposób rozpocząłem - powiedział, choć w

najmniejszym stopniu nie odczuwał przykrości z tego powodu - ale chciałem tylko panią poinformować, że ten biolog, z którym mnie pani umawiała, nie przyjechał.

- Ojej, naprawdę? - Pani Lovejoy wydawała się szczerze zmartwiona, ale Mitch nie dał się nabrać. Zbyt dobrze ją znał.

Wiedział, że właśnie leniwie ogląda sobie paznokcie, od czasu do czasu zerkając przez okno. A w leżącą na biurku lalkę, która w magii voodoo symbolizuje jego osobę, mściwie wbija szpilkę za szpilką za to, że z powodu pracy nad nowym projektem nie zgodził się na jej urlop. - Ciekawe, co się stało? – rzuciła niewinnie.

Volkswagen z hałasem przejechał niewielki odcinek, po czym jego zmęczony silnik stęknął cicho i zgasł. Samochód zatrzymał się kilka metrów od Mitcha. Kobieta w słonecznym kapelusiku ze złością uderzyła pięściami w kierownicę, wyrzucając z siebie potok najczystszej hiszpańszczyzny, będącej zapewne wiązanką najbardziej soczystych przekleństw. Dwa drobne psy wystawiły przez szybę swe nieproporcjonalnie wielkie łby i po chwili zaczęły wtórować swojej właścicielce, ujadając ze zniecierpliwieniem.

Mitch odwrócił się, mocniej przyciskając dłoń do ucha.

- Pani Lovejoy, nie słyszę pani!

- Powiedziałam, że promy często nie trzymają się rozkładów. Mój zięć miał ostatnio dwunastogodzinny postój w Victorii... A mój mąż kiedyś... - Mitch nie usłyszał zakończenia Na łączach coś zaszumiało, zatrzeszczało, a potem połączenie zostało przerwane.

- Pani Lovejoy? - krzyknął do słuchawki, ale bezskutecznie.

Z wściekłością wyłączył telefon. Tymczasem kobieta wysiadła z volkswagena i podniosła klapę silnika. Z chłodnicy unosił się gęsty dym. Na widok kogoś, kto ma większe kłopoty niż on sam, Mitch poczuł złośliwą satysfakcję.

W gruncie rzeczy mógł się właściwie spodziewać, że specjalista, którego zatrudnił, nie przybędzie w umówionym terminie. Wszystko

na tej cholernej wyspie nie funkcjonowało normalnie. Życie płynęło tu własnym, leniwym rytmem, a ludzie zupełnie nie przestrzegali reguł rządzących światem biznesu. Do pracy przychodzili wtedy, kiedy chcieli, a jeśli otrzymali lepszą ofertę, bez wahania porzucali dotychczasowe obowiązki.

Za to turyści byli oczarowani sielską atmosferą wyspy. Mówili o błogim spokoju, ciszy, wytchnieniu. Wspaniale, tylko że Mitch nie przyjechał tu na wypoczynek. Musiał wykonać swoje zadanie, a miał na to niewiele czasu. Wynajął letni dom o nazwie Rainshadow Lodge na cały sierpień, co znaczyło, że powinien w ciągu czterech tygodni zakończyć pracę nad swoim najnowszym przedsięwzięciem, którym był projekt nowoczesnej przystani.

Tymczasem wykonawca nie dał znaku życia, a architekt ograniczył się do przesłania kilku faksów, w związku z czym wszelkie prace musiały zostać wstrzymane. Wreszcie pojawił się kolejny problem - protesty ekologów. Świerkowa Wyspa przypominała ogromny szmaragd wynurzający się z krystalicznej morskiej toni. Jej przyroda była czysta i nieskażona. Niektóre najbardziej ustronne zakątki stanowiły ostoję ptactwa, a szczęśliwcom zdarzało się ponoć widywać czasem orły. Z tego właśnie powodu należało ustalić, czy planowane w związku z budową przystani zmiany nie wpłyną negatywnie na tutejszą faunę i florę.

Mitch oczywiście rozumiał taką potrzebę. Był gotów rozmawiać, słuchać argumentów, korygować projekty. Jak się jednak okazało, zawiódł nawet specjalista powołany do tej roli.

A czas mijał nieubłaganie.

Mitch skierował się w stronę swojej łodzi. Mijając volkswagena, przełotnie spojrzął na jego właścicielkę, po czym cofnął się o krok i znów na nią zerknął, tym razem z uwagą.

Miała na sobie obcisłą czerwoną sukienkę, wiązaną na karku i tak krótką, że w niektórych miejscach mogłaby zostać uznana za nie-

przyzwoitą. Na szczęście tutaj wymogi dotyczące mody nie były zbyt rygorystyczne. Sandały na wysokim obcasie podkreślały smukłość opalonych nóg. Kiedy kobieta pochyliła się nad otwartą maską samochodu, Mitch poczuł, jak robi mu się gorąco.

Dziwne. Przecież nawet nie widział jej twarzy...

Dość tego! Co go obchodzi jej twarz?

Już w następnej chwili zmienił jednak zdanie, a stało się to, gdy zauważył, jak w kierunku volkswagena podąża kilku chętnych do pomocy marynarzy. Nagle odezwał się w nim instynkt człowieka pierwotnego, strzegącego własnego terytorium. Błyskawicznie znalazł się przy samochodzie właścicielki smukłych nóg.

- Widzę, że potrzebuje pani pomocy - zagadnął.

- Obawiam się, że tak - odparła, szczupłym ramieniem przytrzymując maskę.

Mitch spostrzegł pomalowane na czerwono paznokcie. Dwa psy spojrzały na niego groźnie i powitały go donośnym szczekaniem.

- Freddy! Selena! *Silencio!* - Kobieta szybko przywołała je do porządku i ku zdziwieniu Mitcha, zwierzęta natychmiast zamilkły.

Dopiero teraz zsunęła kapelusz na tył głowy i mógł zobaczyć jej twarz. Nie doznał zawodu. Oblicze nieznajomej było równie doskonałe, jak reszta jej ciała. Zdjęła okulary, złożyła je, po czym zaczęła na piersi, wsuwając jeden uchwyt za dekolt. Rozbawione spojrzenie ciemnych oczu sprawiło, że Mitch nagle zawstydził się swojej nieskazitelnie czystej koszuli, spodni idealnie zaprasowanych w kant i wypolerowanych do połysku butów.

- Naprawdę umie pan naprawić samochód?

- Nie mam o tym zielonego pojęcia - przyznał. - Myślę jednak, że najpierw trzeba zepchnąć go z drogi.

- Dobry pomysł. - Zamknęła maskę i szybko wsiadła do środka.

Przed oczyma Mitcha znów mignęły jej oszałamiającej długości nogi. - Niech pan pcha, a ja będę kierować!

Świetnie, pomyślał Mitch, zdejmując marynarkę. Wsunął ją przez uchyloną szybę do samochodu, a psy od razu rzuciły się, by ją obwąchać. Mitch odwrócił wzrok. Wolał na to nie patrzeć. Nie chciał widzieć, jak któryś z nich znaczy na niej swoje terytorium.

- Niech pani kieruje w stronę nadbrzeża - powiedział.

Skinęła głową.

Mitch rzucił okiem na marynarzy. Teraz, kiedy okazał się szybszy, zupełnie stracili zainteresowanie samochodem, a raczej jego właścicielką.

- W porządku, chyba wystarczy! - krzyknęła, wychylając się przez okno.

Sympatyczny akcent, pomyślał. Latynoski. Choć ledwo zauważalny, jedynie wtedy kiedy wymawiała „r” i niektóre długie samogłoski. Przystał pchać i samochód zatrzymał się.

- Dzięki - rzuciła, wychodząc na zewnątrz.

- Nie ma sprawy. - Próbował na nią nie patrzeć, ale nie mógł się oprzeć pokusie. Była oszałamiająca. Miała pełne, czerwone usta, ciemne, jedwabiste włosy, a jej oczy wydały mu się teraz ciemniejsze niż przed kilkoma minutami. Między kragłymi piersiami pojawiła się kropelka potu. Od śniadej skóry odbijał się maleńki złoty krzyżyk, zawieszony na cienkim łańcuszku. - Wie pani, kogo wezwać? Może należy pani do jakiegoś stowarzyszenia motoryzacyjnego?

Roześmiała się, słysząc te słowa.

- Ten samochód ma więcej lat niż ja! Kiedyś postanowiłam, że jeżeli nawali, po prostu zostawię go i pójdę pieszo.

Nie był pewien, czy żartuje.

- W takim razie co pani zamierza?

- Sama nie wiem. Na razie spóźniłam się na ważne spotkanie. - Spojrzała na odpływający prom. - Ktoś miał na mnie czekać, ale nigdzie go nie widzę.

Mitch pospiesznie odwrócił wzrok od jej pełnych warg.

- Czy pani...? Nie, pani nie może nazywać się Galvez - wyszeptał zdumiony.

Jej twarz rozciągnęła się w szczerym uśmiechu. Mitch nie widział jeszcze kobiety, która uśmiechałaby się tak chętnie i tak serdecznie.

- Doktor Rosalinda Galvez. - Wyciągnęła ku niemu dłoń. - Dla przyjaciół, Rosie. Pan Rutherford, jak się domyślam?

- Po prostu Mitch - odparł szybko, wciąż nie mogąc ochłonąć ze zdumienia. Faks od pani Lovejoy zawiadamiał go tylko, że doktor Galvez przybędzie popołudniowym promem z Anacortes. W oparciu o tę zwięzłą informację wyobraził sobie typowego naukowca w średnim wieku. Płci męskiej. Lekko łysiejącego, w okularach o grubych szklach, jako że praca z mikroskopem musiała przecież odbić się na jego wzroku.

- Panie Rutherford... Mitch, czy coś się stało? - zaniepokoiła się jego milczeniem.

- Nie, nie... - Potrząsnął głową. - Nic ważnego. Po prostu... trochę inaczej sobie panią wyobrażałem.

- Ach, rozumiem... - Przygryzła wargę w sposób, który przyprawił go o szybsze bicie serca. Omiotła wzrokiem jego markową koszulę, spodnie od Armaniego i skórzane mokasyny.

- A ja pana dokładnie tak - odparła.

Poczuł, że z czoła spływa mu strużka potu.

- Cóż... - roześmiał się nerwowo. - Byłem przygotowany na służbowe spotkanie. Trudno pozbyć się starych nawyków, rozumie pani.

- Najważniejsze, że w ogóle się spotkaliśmy. - Przechyliła wdzięcznie głowę na jedną stronę. - To co? Mogę wypakować swoje rzeczy? - zapytała. - Pańska sekretarka mówiła, że na miejsce dopłyniemy prywatną łodzią.

- Zgadza się. Przycumowałem ją niedaleko stąd. Pójdę po wózek.

- Dziękuję.

- Aha, musi jeszcze pani wykupić kartę parkingową - poradził jej. -
Na cały miesiąc.

- Boże, dla mnie miesiąc to cała wieczność.

- Mam nadzieję, że nie zmieniła pani zdania? - zaniepokoił się.

- To wręcz nierealne, panie... Mitch - odpowiedziała z uśmiechem.

Mitch próbował uporządkować swoje myśli. Biologiem zatrudnionym przez jego firmę okazała się kobieta. Piękna kobieta o hiszpańskiej urodzie, która jeździ zdezelowanym volkswagenem, udekorowanym plastikową figurką na desce rozdzielczej i puszystą maskotką w kształcie kostki, zwieszającą się z lusterka. Ma dwa niezbyt urodziwe psy noszące imiona nieżyjących latynoskich piosenkarzy i zniewalający uśmiech, którym z miejsca podbiła jego serce. Sam nie wiedział, czy spotkanie z tą kobietą to zrzączenie opatrności, czy raczej jeden z figli, które lubi płatać los.

Zręcznym ruchem otworzyła bagażnik, a on pospiesznie podsunął jej wózek.

- To moje rzeczy - powiedziała, wyjmując ze środka niewielką walizkę i pudełko z przyrządami do pracy.

- Nie ma pani dużo bagażu.

- Miałam jeszcze jedną walizkę - powiedziała beztrąsko - ale...

- Ukradli ją pani na promie?

- Nie, zostawiłam ją pewnej kobiecie w porcie w Anacortes. Jej przyda się bardziej niż mnie. Jest bezdomna.

Mitch pokiwał ze zrozumieniem głową, choć doprawdy rozumiał coraz mniej. Doktor Galvez zaskakiwała go przy każdej okazji. Owszem, znał problemy bezdomnych, zdawało mu się jednak bardziej niż niezwyczajnie, że ktoś zdobył się na serdeczny gest wobec jednego z nich.

- To bardzo szlachetnie z pani strony.

- Nie zrobiłam tego po to, aby wydać się szlachetna. Ona po prostu

potrzebowała tych rzeczy. - Zatrzasnęła bagażnik i przywołała psy: - Freddy! Selen! Idziemy! - Szeroko otworzyła drzwi samochodu, sięgając po kapelusz, pudełko płyt kompaktowych oraz ogromne kartonowe pudło. - To moje wszystkie papiery - wyjaśniła, widząc jego pytające spojrzenie. - Właśnie wyprowadziłam się z mieszkania.

- Zdaje sobie pani sprawę, że to nie jest stała praca? - przypomniał na wszelki wypadek.

Zmrużyła oczy.

- Mówiłam już panu, że dla mnie miesiąc to cała wieczność. Mitch kiwnął głową i pomógł jej zasunąć szyby.

- To już wszystko?

- Chyba tak - odparła, wrzucając kluczyki do przepaścistej torby z wypłowiałym logo jednej z firm kosmetycznych.

- Nie zamyka pani samochodu?

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli ktoś znajdzie coś dla siebie w tej kupie złomu, to niech mu to wyjdzie na zdrowie.

Dziwna kobieta, myślał Mitch, pchając wózek w kierunku łodzi. W ogóle nie przywiązuje wagi do rzeczy materialnych. Zatrzymał się, aby mogła wejść na pomost, a wówczas posłała mu uśmiech, który całkiem go rozbroił. Był gotów łasić się i podskakiwać u jej stóp, jak czyniły to właśnie dwa rozbawione psiaki.

A swoją drogą ciekawe, jak też jej nogi wyglądają z tej perspektywy, przemknęło mu przez myśl.

Rozdział 2

Mitchell Rutherford jawił się Rosie rycerzem w lśniącej zbroi, który wybawił ją z nie lada kłopotów i uniósł na swej łodzi niczym na wierzonym rumaku. Rzeczywiście miał w sobie coś rycerskiego i szlachetnego, a ona rzeczywiście potrzebowała pomocy. Nie miała mieszkania, pieniędzy, żadnych perspektyw. Jediną rzeczą, która dawała jej nadzieję na przyszłość, był miesięczny kontrakt z jego firmą.

Zdażyła się już przyzwyczać do ciężkich sytuacji życiowych. Wychowana w ośmioosobowej rodzinie, poznała moc ślepej wiary w porządek ustanowiony we wszechświecie. Jednak ostatnie wypadki niemal zupełnie wytrąciły ją z równowagi.

- Proszę powiedzieć, kiedy będziemy odpływać! - zawołała, wychylając się ku niemu przez burzę. Na tle błękitu nieba zlewającego się z lśniącą taflą wody Mitch wyglądał jak żywa reklama wody po goleniu.

- Ja zajmę się cumą!

- Dzięki! - jego głos z trudem przedarł się przez warkot silnika.

Po chwili ruszyli i łódź zaczęła powoli oddalać się od brzegu. Rosie zacisnęła zęby, próbując przewyciężyć ból w skrzywanej w trakcie odbijania kostce. Cóż, sandały na wysokich obcasach to jednak nie był najszczęśliwszy wybór. Miała tylko nadzieję, że nie zapakowała swoich tenisówek do walizki, którą podarowała bezdomnej kobiecie.

Ostrożnie oparła się o reling, zamknęła oczy. Nagle usłyszała przeciągły gwizd i towarzyszący mu obleśny rechot. Odwróciła się i ujrzała w pobliżu niewielką łódkę, a na niej dwóch obwieszonych nie spuszcających z niej łakomych spojrzeń.

- Relaks przed następnym numerkiem? - spytał jeden z nich, trącając kumpla łokciem. - Trafił ci się klient, mała, co?

Idioci, pomyślała, z wyższością odwracając głowę. Musieli uznać, że jest latynoską laleczką, która zabawia na jachcie bogatego faceta.

Oczywiście, jeśli masz na sobie taką sukienkę i buty na obcasach, nie możesz się spodziewać, że mężczyźni będą się do ciebie zwracali „doktor Galvez” - przypomniały jej się słowa Carlito, jej starszego brata.

Kłopot polegał jednak na tym, że Rosie uwielbiała buty na wysokich obcasach. Lubiła też jeździć swoim starym samochodem, słuchać głośnej muzyki, nosić długie rozpuszczone włosy i za krótkie sukienki. Akceptowała siebie taką, jaka jest, i lubiła w sobie wszystko.

Z wyjątkiem tego, że w tej chwili była doszczętnie splukana.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Mitch. - Za pół godziny będziemy na miejscu.

Zsunęła buty i podeszła do niego z uśmiechem. Lekko wychyliła się za burtę, pozwalając, by ciepła bryza delikatnie owiewała jej twarz.

- W chłodziarce są zimne napoje - znów się odezwał. - Proszę się częstować.

Wyjęła posłusznie butelkę wody.

- Podać coś panu?

- Tak, piwo. - Założył przeciwsłoneczne okulary i skierował łódź w stronę kanału. Obok przepłynęła żaglówka, którą wiatr niemal kładł na tafli wody.

- Boże, tu jest cudownie - powiedziała z zachwytem, odwracając twarz do słońca. - Na niebie nie ma ani jednej chmury. Po prostu raj-ska pogoda!

- Rzeczywiście - przytaknął, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Usadowił się przy sterze i spoglądał przed siebie bez słowa, jakby czuł się speszony i bał się odezwać, by nie palnąć jakiegoś głupstwa.

Rosie znała się na ludziach, więc od razu go rozszyfrowała - Mitch Rutherford nie był typem, który czuje się swobodnie w każdej sytuacji i w każdym towarzystwie, a uczucie skrępowania jest mu całkowicie obce. Był raczej powściągliwy, spokojny i opanowany, co przydawało mu tylko atrakcyjności. Poza tym był bez wątpienia przystojny i nie pozbawiony szczególnego, bezpretensjonalnego wdzięku. Natura obdarzyła go świetną sylwetką i inteligencją, którą dostrzegła w jego oczach, zanim nie schował ich za szklami ciemnych okularów. Podsumowując - pieniądze, wygląd i otaczająca go aura sukcesu czyniły Mitcha niesamowicie atrakcyjnym dla kobiet, lecz Rosie i tak wiedziała, że w jego życiu nie było tej jedynej.

- Patrzy na mnie pani tak, jakbym był unikalnym okazem w pani zoologicznym laboratorium.

Zaśmiała się.

- Przyłapał mnie pan. Właśnie doszłam do wniosku, że nie ma pan ani żony, ani stałej przyjaciółki.

- Jak pani na to wpadła?

- Jestem ekspertem, jeśli chodzi o badania empiryczne.

Pociągnął łyk piwa.

- A jest może pani zainteresowana objęciem funkcji osobistej narzeczonej?

- A szuka pan kogoś takiego?

- Nie.

- W takim razie nie jestem. Uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie. Cieszę się, że wyjaśniliśmy to sobie na wstępie.

- Ja również.

Oczywiście, że dobrze się stało, że zagrali w otwarte karty, pomyślała po chwili. Miały ich połączyć sprawy zawodowe, więc nie mogli sobie pozwolić na to, aby pracę utrudniały im jakiegokolwiek podejrzenia czy niedomówienia. Mimo to nawet po tych słowach dawało się wyczuć między nimi pewne napięcie. Rosie była tego świadoma od początku, od chwili w której zauważyła, jak Mitch Rutherford idzie w jej kie-

runku, by zapytać, czy nie potrzebuje pomocy.

Wiedziała też, że oboje będą bezpieczni, dopóki każde z nich zostanie we własnym świecie. On - w świecie biznesu i pieniędzy, ona - w swojej rzeczywistości postrzeganej oczyma naukowca. Uważała także, iż ludziom pokroju Mitcha Rutherforda najlepiej jest nie okazywać swoich słabości, dlatego też postanowiła nie wtajemniczać go w swoje sprawy osobiste. Gdyby Mitch zorientował się, jak bardzo potrzebuje pieniędzy, natychmiast zmieniłby swój stosunek do niej. A gdyby dowiedział się, jak bardzo jest samotna, mógłby to wykorzystać i ją zranić.

- Jak znalazła pani moją ofertę? - zagadnął, leniwie obserwując japoński tankowiec, płynący w stronę Seattle.

- W Internecie. Z ogłoszenia wynikało, że to niezwykle ciekawa praca.

Niewinne kłamstewko. Rutynowe badania nad wpływem inwestycji budowlanych na poziom zanieczyszczenia środowiska naturalnego to najnudniejsze zajęcie pod słońcem. Ale dla pani profesor, która właśnie została na lodzie, było ostatnią deską ratunku. Miesiąc badań i papierkowej roboty w jakimś Rainshadow Lodge miał jej zapewnić dochód oraz dać możliwość spokojnego pomyślenia o przyszłości.

Utrata pracy była dla niej dużym ciosem, pogodziła się jednak z tym, uznając, że nadszedł najwyższy czas, aby uporządkować swoje życie i nareszcie zacząć zachowywać się tak, jak przystało na osobę dorosłą. Dlatego teraz przyrzekła sobie, że wywiąże się z nowych obowiązków najlepiej, jak tylko będzie umiała, tak dobrze, że nowy pracodawca będzie błagał ją na kolanach, żeby została w jego firmie na stałe.

- Wie pani, jakie będą pani zadania? - znów spytał Mitch Rutherford.

Kiwnęła głową, wydając z torby paczkę gumy do żucia. Zapropo-nowała mu jedną, ale odmówił. Zwinęła swój listek na kilka części,

wsunęła go do ust i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Mniej więcej. Jeszcze na studiach uczestniczyłam w podobnych pracach. Specjalizowałam się w ornitologii morskiej. Interesują mnie szczególnie rzadkie gatunki ptaków. - Wyprostowała ramię i obróciła je tak, aby mógł zobaczyć na nim bliznę. - Widzi pan?

- Mój Boże! Jak to się stało?

- W czasach studenckich miałam drobne starcie z rekinem. Poszło o aparat fotograficzny.

Gwizdnął z niedowierzaniem.

- I kto wygrał?

Odwróciła ku niemu twarz i spojrzała na niego poprzez potargane przez wiatr włosy.

- Nigdy nie przegrywam z rekinami, Mitch. Nigdy.

Rozdział 3

Przez cały rejs Mitch powtarzał sobie w myślach, że Rosie Galvez jest tylko jego pracownicą, i to w dodatku sezonową. Fakt, była atrakcyjną kobietą, intrygowała go i zaskakiwała co krok. Nie mógł jednak dopuścić do tego, by patrzeć na nią okiem mężczyzny. Miał być dla niej pracodawcą - i nikim więcej.

Ba, ale jak nie patrzeć okiem mężczyzny na kruczowłosą piękność w kusej sukience, która zeskoczyła właśnie wdzięcznie z łodzi, stanęła bosymi stopami na mokrym piasku i z zachwytem przyglądała się widocznej z plaży starej wiktoriańskiej rezydencji, która miała być ich wspólnym domem przez następny miesiąc?

Stał tuż za nią i obserwował ją dyskretnie. W jej twarzy, prócz nieskazitelnego wręcz piękna, dojrzał tym razem zadumę i jakiś dziwny smutek, i to zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Nie, do licha, nie chciał widzieć na jej obliczu jakichkolwiek uczuć! Nie chciał wiedzieć, dlaczego widok Rainshadow Lodge działa na nią w ten sposób! Jakikolwiek zaangażowanie w osobiste sprawy jego pracownicy byłoby nie tylko głupie, ale wręcz niebezpieczne.

- To Rainshadow Lodge, prawda? - zapytała, a zaraz potem westchnęła z podziwem: - Jest wspaniały. Po prostu wspaniały. Ta weranda, te zdobienia... Gdy patrzy się na ten dom, ma się wrażenie, jakby sto lat temu czas zatrzymał się w miejscu, nie sądzisz?

- Tak, szczególnie, że jeszcze rok temu podobno nie było tu ciepłej wody - odparł. - Chodźmy, pokażę ci twój pokój.

Szła przed nim, pokonując szereg stopni prowadzących z plaży do domu. Brzeg jej krótkiej sukienki unosił się niepokojąco przy każdym kroku, więc Mitch z początku skromnie odwrócił wzrok, jednak pokusa, aby patrzeć na jej opalone uda, okazała się ostatecznie silniejsza. Zanim dotarł do szczytu schodów, po jego skroni płynęła strużka potu - bynajmniej nie ze zmęczenia. W tym czasie zdążył całkowicie zmienić zapatrywania na temat angażowania się w sprawy osobiste swojej podwładnej.

Czy zatem nie mógłby sobie pozwolić na mały romans? Przecież Rosie była taka piękna. Poza tym z podpisanego przez nią kontraktu jasno wynikało, że będzie pracować dla niego przez miesiąc i ani dnia dłużej. Czy nie warto spróbować, jak smakuje taka przelotna znajomość bez zobowiązań? Jeśli oboje przystaliby na taki układ, pobyt w Rainshadow Lodge mógłby okazać się całkiem przyjemny. I przy okazji, przyniosłoby oczywiście niezłe zyski.

Niestety, Rosie Galvez nie różniła się zapewne od większości kobiet i pod koniec miesiąca z pewnością nie chciałyby się pogodzić z tym, że oto ich znajomość dobiegła końca. Tak było zawsze - choć Mitch nie uważał siebie za kogoś, z kim warto byłoby spędzić resztę życia, wszystkie kobiety, jakie spotkał, były innego zdania. Po prostu nie chciały odchodzić. Zostawały przy nim o wiele dłużej niż powinny, a wtedy on zmuszony był zadawać im ból. Nie lubił ranić innych, dlatego też ostrożnie zabierał się do nowych znajomości. Z tego samego powodu ponownie odsunął od siebie myśl o krótkim i ognistym związku z piękną doktor Galvez.

- Otworzę drzwi - powiedział, stawiając walizkę na ganku.

Otarł pot z czoła. Tym razem naprawdę się zmęczył. Tymczasem Rosie była coraz bardziej podekscytowana nowym miejscem, nie mówiąc już o jej psach, które biegały po trawniku jak szalone, znacząc przy okazji swoje terytorium. Dobrze, że nie grywam tu w krykieta, pomyślał Mitch z niesmakiem, po czym uchylił drzwi i wpuścił Rosie do środka.

Sandały na wysokim obcasie upadły na podłogę.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła, wchodząc boso do środka. - Powiedz, Mitch, jak znalazłeś to miejsce?

- To zasługa pani Lovejoy. Nie wspominała ci, gdzie będziesz mieszkać?

- Poinformowała tylko, że firma zapewnia zakwaterowanie i wyżywienie. Nie miałam pojęcia, że pod pojęciem „zakwaterowanie” mieści się taki pałac.

- Po prostu świeżo odnowiony letni dom - uśmiechnął się.

- Chodźmy na górę. Pokażę ci twój pokój.

On sam zdążył już polubić to miejsce, choć z początku był nim nieco rozczarowany. Oczywiście doceniał szczególny, staromodny urok Rainshadow Lodge, nie mógł jednak przeboleć tego, że w całym domu było tylko jedno gniazdko telefoniczne, w związku z czym niemożliwe było podłączenie komputera, faksu i telefonu do oddzielnych linii.

Weszli na górę. Pokój, który wybrał dla Rosie, w jego mniemaniu nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego zaletą było to, że sąsiedował z łazienką wyposażoną w jacuzzi, oraz wspaniały widok z najwyższego piętra. Gdy jednak ujrzał zachwyty malujący się na twarzy Rosie, uznał, że dokonał właściwego wyboru.

- Rozumiem, że ci się podoba - odezwał się z nieskrywanym zadowoleniem.

- Podoba? To mało powiedziane! - Podeszła do okna i odsłoniła zasłony. - Boże, co za widok... Nie mogłabym chcieć więcej.

I znów zapatrzył się w jej pełną zachwyty i tajemniczej tęsknoty twarz. Gdy zorientował się, że milczenie trwa zbyt długo, odchrząknął, a potem odezwał się nieswoim głosem:

- W takim razie zostawiam cię samą. Gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu mnie zawołaj.

Rozdział 4

Obudziła go głośna muzyka i bulgot wody w jacuzzi. Przetarł oczy i patrząc w sufit, wyobrażał sobie ponętne, smukłe ciało zażywające ożywczej kąpieli w gigantycznej wannie. W jednej chwili ogarnęło go podniecenie. Zastanawiając się, na jakie jeszcze pokusy wystawiony będzie tego dnia, zerwał się z łóżka, wziął szybki prysznic, po czym ubrał się i zszedł na dół, by czekać już na Rosie, kiedy ta zakończy swoją toaletę.

Ostatecznie to on tu rządzi. To on jest szefem.

Zastanawiał się chwilę, co kobieta taka jaka ona może jadać na śniadanie. Jemu wystarczało menu starego kawalera - płatki, banany i dzbanek mleka. A ona?

O, nie! Nie będzie szukał dla niej ptasiego mleka! Jeśli dla niej to za mało, będzie musiała przejść na własny wikt. Poza tym od początku musi być dla niej wymagający, bezlitosny i trzymać ją na dystans. Żadnego spoufalania się, żadnej troskliwości. Rosie ma pamiętać o tym, że jest tu tylko po to, aby wykonać powierzone jej zadanie. Skończy robotę, otrzyma honorarium (nie będzie dla niej skapy, jeśli tylko dobrze się spisze), a później wyjedzie i nie zobaczą się nigdy więcej.

Usłyszał dudnienie na schodach i szybko podniósł głowę. Psy cofnęły się ostrożnie pod jego surowym spojrzeniem.

- No, chodźcie, głupki - mruknął, podsuwając im miskę z psim jedzeniem, które przywiozła Rosie. Podeszły bliżej, obwąchały je podejrzliwie, po czym wróciły na swoje miejsce. - Jak chcecie. - Mitch wzruszył ramionami i zabrał się do parzenia kawy. - Ciekaw jestem, jakiej jesteście rasy i kto wpadł na pomysł, żeby wyprodukować coś takiego.

- Słyszałam, co powiedziałeś. - W drzwiach pojawiła się Rosie i spojrzała na niego z wyrzutem. Świeżo po kąpieli, z wilgotnymi włosami wijącymi się wokół twarzy, wyglądała szczególnie pociągająco. Niestety. - Są dwujęzyczne – dodała - więc musisz uważać, co do nich mówisz. Widzę, że nie przepadasz za psami. - Podeszła do kuchennego stołu i odsunęła krzesło.

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Tych dwóch stworzeń nie nazwałbym psami. Wyglądają raczej jak ogolone chomiki.

- Bardzo zabawne. Założę się, że nigdy w życiu nie miałeś psa.

- Owszem, mam porcelanowego dalmatyńczyka - stojak na parasole. Dostałem go w prezencie od znajomego.

- Świetna dekoracja. - Czule pogłaskała swoich podopiecznych. - Wcześniej dzisiaj wstałeś.

Wzruszył ramionami.

- To normalny dzień pracy. Kawy? — spytał, podając jej kubek.

Spojrzała na stojący na stole słoik rozpuszczalnej kawy i bez namysłu odstawiła kubek do zlewu.

- Tak nisko nie upadłam.

- O co chodzi? Że rozpuszczalna? - spytał nieco urażony.

- Rozpuszczalną przyrządza się błyskawicznie.

- Gdybym jednak mogła skorzystać z ekspresu...

- Proszę bardzo. Ale pospiesz się.

- Nie da się pospieszyć maszyny.

- W takim razie rób, co uważasz - odparł zniecierpliwiony. Uśmiechnęła się szelmowsko i odparła ze stoickim spokojem:

- Tak właśnie zamierzam.

- Pamiętaj tylko, że musimy zaraz zaczynać. Rosie spokojnie wyjęła z lodówki mleko.

- Jestem do twojej dyspozycji. Jak tylko wypiję kawę. Jej zachowanie zaniepokoiło Mitcha. Do licha, wcale się nie bała jego groź-

nych min! Na domiar złego założyła dzisiaj szorty, bawełniany top i wytarte tenisówki, w czym wyglądała chyba jeszcze seksowniej niż we wczorajszej czerwonej mini-sukience.

- Pokażę ci okolicę, a potem powiesz mi, jak będzie wyglądała cała procedura, zgoda? - odezwał się, by od razu przejść do spraw zawodowych. Miał nadzieję, że Rosie jest podobna do znanych mu ekspertów z zakresu ekologii, pracujących przy rozmaitych przedsięwzięciach budowlanych, i spodoba jej się to, że reprezentant inwestora żywo interesuje się jej obowiązkami. Uładzi ją, ugłaska, a potem ona bez wahania podpisze wszystkie dokumenty, które on jej podsunie. Tym sposobem projekt zostanie przyjęty, a Mitch Rutherford Trzeci zarobi kolejne kilka tysięcy.

- Czy jesteśmy umówieni z kimś na spotkanie? - spytała, stawiając przed nim filiżankę aromatycznej kawy.

- Nie, ale musimy trzymać się planu. Znasz w ogóle rozkład pracy?

- A co będzie, jeśli powiem, że nie? - Roześmiała się beztrudno.

- Nic, ale chcę, żeby było jasne, że to nie jest zabawa. Musisz poważnie traktować swoje obowiązki, bo inaczej...

Spoważniała w jednej chwili. Mitch nie dokończył, bowiem poczuł się niezręcznie.

- Chodzi mi o to - zaczął tłumaczyć - że inwestorzy wiążą z tym projektem ogromne nadzieje. Ta wyspa ma kłopoty gospodarcze, tylko ta przystań może ją uratować. Dlatego nie mogę pozwolić na jakiegokolwiek opóźnienie.

- Rozumiem. - Pokiwała głową i usiadła przy stole. - I naprawdę mam zamiar solidnie zapracować na swoje honorarium, tak jak zawsze to robię. Ale filiżanka kawy nie przerwie przecież pracy nad projektem. - Westchnęła głęboko. - Najważniejsze, aby upewnić się, czy przystań nie zniszczy tego, co sprawia, że ta wyspa jest tak niezwykła.

A jednak nie wygram z nią łatwo, pomyślał. Uśmiechnął się do niej i odpowiedział:

- Oczywiście. Życzysz sobie czegoś, jeszcze? - spytał, wskazując na filiżankę kawy.

- Nie, dzięki. Nie jadam śniadań. I założę się, że ty jesz je na stojąco. Albo w biegu.

- Zgadłaś.

- Mieszkasz sam, prawda?

- Tak. Mam mieszkanie w mieście.

- Niech zgadnę: wielopoziomowe, przy Elliot Bay. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Czyżbym był aż tak łatwy do rozszyfrowania?

- A może ja po prostu jestem inteligentna?

- Możliwe. Dlatego panna Lovejoy cię zatrudniła. Dopięła kawę, włożyła filiżankę do zlewu i poszła na górę.

Wróciła po kilku minutach, ubrana w biały fartuch i z notatnikiem w ręku.

- Jestem gotowa - oznajmiła, a on bez słowa poprowadził ją do wyjścia.

Gdy tylko wyszli przed dom, Rosie zatrzymała się, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła krystalicznie czyste powietrze.

- Boże, tutaj jest cudownie...

- Co ci się tak podoba? - spytał, wzruszając ramionami.

- Wszystko. Jak długo tu jesteś?

- Dwa dni.

- I przez dwa dni nie zauważyłeś, jakie to fantastyczne miejsce?

- Rosie, ja przyjechałem tu pracować.'

Przeszli usypaną żwirem alejką w kierunku plaży. Wzdłuż i

brzegu, na złocistym piasku, leżały lśniące, gładkie kamienie, i a tu i ówdzie można było natknąć się na grube kłody drewna, dokładnie obmyte i wyszlifowane przez ocean. Nad skałami...; krążyły mewy, wiatr poruszał widoczne na wzgórzach drzewa. Rosie była coraz bardziej oczarowana tą niezwykłą wyspą.

Czuła się tu jak w jakimś innym świecie, piękniejszym i lepszym od tego, który znała.

Idąc brzegiem oceanu, zauważyła niezliczoną liczbę krabów, meduz i rozgwiazd. Znaczyło to, że okoliczne wody są domem dla różnorodnych form życia. Przelotnie spojrzała na Mitcha. Zdaje się, że nie podzielał jej entuzjazmu z powodu pobytu w tak cudownym miejscu, choć uprzejmie kiwał głową za każdym razem, kiedy głośno wyrażała swój zachwyt.

Może to dziwne, ale nie zniechęcał jej tym do siebie ani nie drażnił. Widziała w nim coś intrygującego, coś, co czyniło go niedostępnym. I pociągającym.

Zerknęła na niego ukradkiem. Choć miał na sobie jedynie szorty koloru khaki i bawełnianą koszulkę polo, wyglądał bardzo sztywnie. Jego wygląd dopracowany był w każdym szczególe - jasne włosy zaczesane z ogromną starannością, ramiona, nogi i szyja równo opalone, zarost - starannie ogolony, a paznokcie - równo przycięte. Z pewnością musiał podobać się kobietom. Jej w każdym razie się podobał.

- Masz tutaj jakieś rozrywki? - zagadnęła.

- Rozrywki? - Wsunął ręce do kieszeni. - Nie przyjechałem tu dla zabawy.

- Nic by się przecież nie stało, gdybyś się trochę odprężył. Zresztą wiesz, co mówi się o ludziach, którzy pracują bez wytchnienia i nie znajdują czasu na wypoczynek.

- A może nie przeszkadza mi to, że uważa się mnie za nudziarza?

Roześmiała się.

- Nie powiedziałam jeszcze, że jesteś nudziarzem.

- Jeszcze nie.

Dalej szli w milczeniu. Wokół panowała błoga cisza, zakłócana jedynie szumem fal. Od rana nie spotkali żywej duszy, toteż trudno było nie odnieść wrażenia, że znaleźli się nagle w jakimś magicznym miejscu odciętym od reszty świata, gdzie są jedynymi ludźmi.

- Tu żyją łososie - odezwała się, widząc niewielki strumyk, który wypływał z małej zatoczki uformowanej przez skalne występy. Bez namysłu zsunęła płócienne tenisówki i pozwoliła, aby jej stopy zanurzyły się miękko w ciepłym piasku.

Mitch spojrział na nią z ukosa.

- Mamy przed sobą kawał drogi. - powiedział.
- Mnie się nie spieszy.
- Widzę, że zdążyłaś dostosować się do tutejszych obyczajów.
- Nie rozumiem...
- Na tej wyspie czas po prostu nie istnieje. Nikt się nigdy nie spieszy.
- Z wyjątkiem ciebie?
- Cóż - westchnął Mitch - musi być ktoś, kto nad wszystkim czuwa.

Rozdział 5

Mitch zdążył się już nauczyć, że po Rosie można spodziewać się absolutnie wszystkiego, więc jej zachowanie po przybyciu na miejsce coraz mniej go dziwiło. Zamiast zabrać się do pracy, pani doktor zapadła w dziwny trans, który - jak później wyjaśniła - miał jej pomóc lepiej wczuć się w atmosferę wyspy.

On sam nigdy nie robił niczego takiego. Nie wierzył w magię miejsc, nie uważał, aby każde z nich miało inny klimat. Po prostu były. Poza tym z reguły bywało tak, że ci co mówili o „magii miejsc”, nie dostrzegali zarazem konieczności radykalnych zmian, które miejsca te mogłyby uchronić przed bankructwem i degradacją. Tak było na tej wyspie.

Następnego ranka nie upierał się przy swoim i pozwolił Rosie w spokoju zaparzyć kawę. Musiał przyznać, że napój, który przyrządza z takim namaszczeniem, ma o wiele głębszy smak i jest znacznie bardziej aromatyczny niż pita przezeń co ranka neska. Gdy każde z nich upiło pierwszy łyk, pochylili się nad stołem i zaczęli z uwagą studiować mapę wyspy, wertując przy tym notatki Rosie.

- Kiedy zdążyłaś to wszystko przygotować? - spytał z podziwem, przewracając kartki gęsto zapisane jaskrawoniebieskim atramentem.

- Nie mam pojęcia. Straciłam rachubę czasu. Podobno pojęcie czasu jest tutaj kompletnie nieznane - zakpiła.

Uśmiechnął się mimo woli. A jednak, wbrew jego obawom, doktor Galvez poważnie traktowała swoje obowiązki. To dobrze.

- To jest pierwszy formularz, który musimy wypełnić. - Podsunął

jej dokument. - Odpowiedziałem już na kilka pytań, ale nie poradziłem sobie z tymi, które dotyczyły ekosystemu wyspy. Myślę, że nie obejdę się bez twojej pomocy. Uważnie przestudiowała dokument.

- Pomogę ci - podniosła na niego wzrok - ale przedtem będę musiała przeprowadzić kilka badań.

- Naprawdę będzie to konieczne? Nie mogłabyś wpisać przybliżonych danych?

Odstawiła na bok filiżankę i uśmiechnęła się niewinnie.

- Zleciłeś mi poważne zadanie, więc zamierzam się z niego dobrze wywiązać. Zrobię to najlepiej jak potrafię. Będę staranna i uważna. Sprawdzę wszystko, nawet najmniejszy szczegół. I żeby nie było wątpliwości, Mitch - zaznaczyła dobitnie - nie zatwierdzę tego projektu, jeśli okaże się, że wybudowanie przystani będzie miało niekorzystny wpływ na przyrodę.

Mitch zacisnął zęby. Przez wszystkie lata pracy nigdy nie zawiódł żadnego ze swoich klientów i zawsze na czas wykonywał wszystkie projekty. Niejednokrotnie udało mu się stworzyć nowe fabryki czy osiedla, dzięki którym w zacofanych gospodarczo regionach powstawały nowe miejsca pracy. Teraz miał podobną szansę i nie zamierzał pozwolić, aby jakaś nawiedzona pani doktor mu w tym przeszkodziła. Już nie raz wywodził w pole jej podobnych.

- Oczywiście, Rosie - powiedział, starając się zachować spokój. - Pamiętaj tylko, że ta wyspa umiera. Ludzie stąd wyjeżdżają, bo nie mają środków do życia. Natomiast dzięki nowoczesnej przystani wiele osób będzie mogło znaleźć zatrudnienie, rozwinię się turystyka, inne gałęzie... - Wstał, rzucając jej pełne wyzwania spojrzenie. - Nie zapomnij też, że ten projekt to nie był mój pomysł. Dostałem zlecenie od mieszkańców Świerkowej Wyspy.

- Oczywiście, doskonale to rozumiem. Nie zamierzam zatrzymywać postępu. Myślę tylko, że nikt spośród tych mieszkańców nie zgodziłby się na unicestwienie tutejszej przyrody w zamian za kilka dodatkowych

miejsc pracy. Oni ją kochają, woleliby się stąd wynieść niż ją zniszczyć. Równie dobrze można by było założyć tu hutę miedzi i zatrudnić w niej tysiąc osób...

- Przestań to nie to samo! - przerwał jej ze złością.

- Dobrze, przesadziłam. - Uniosła dłoń do góry. - Przepraszam. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że zamierzam dokładnie sprawdzić ten projekt.

- Świetnie - powiedział, choć nie był do końca pewien, czy naprawdę tak uważa. - Po to przecież tu jesteś.

Przez resztę dnia Mitch nie spuszczał oka z doktor Galvez. Pracował w pokoju z widokiem na zatokę, więc co chwila podnosił głowę znad komputera i patrzył przez okno, jak Rosie chodzi wolnym krokiem wzdłuż brzegu, zatrzymując się od czasu do czasu, aby dokładniej coś obejrzyć, a potem zanotować swoje spostrzeżenia w podręcznym notatniku. O zachodzie słońca usiadła na piasku i zaczęła przeglądać w skupieniu swoje notatki, a on uzmysłowił sobie, że to jej skupienie, metodyczność i spokój działa na niego kojąco. Dziwne, niby denerwował się na nią i boczył, a jednak wcale mu nie przeszkadzało jej towarzystwo. No, może trochę za bardzo wytrącała go z równowagi jej uroda, ale poza tym...

Ciekawe, jak by to było, gdyby nie pracowali nad żadnym projektem, lecz po prostu spędzali razem czas na wyspie, poznając się nawzajem, rozmawiając, odpoczywając?

Szybko odsunął od siebie tę myśl. To niemożliwe. Za bardzo różnili się od siebie. Poza tym Rosie Galvez nie była w jego łypie.

Hm, a jaki był właściwie ten jego typ? Pani Lovejoy wypominała mu uparcie, że jest zbyt wymagający, a jego oczekiwania wobec kobiet są wręcz nierealne.

No właśnie, skoro więc nie ma idealnych kobiet, to może mógłbym spróbować szczęścia z tą Rosie, pomyślał i znów powędrował wzrokiem za okno.

- Chciałabym popływać kajakiem - obwieściła Rosie następnego ranka.

- Daj spokój, mamy dużo pracy - uciał, nie podnosząc oczu znad filiżanki kawy.

- Zgadza się. Będziemy pracować na kajaku.

- Nie chodziłaś wczoraj zbyt długo na słońcu, Rosie?

- Wcale nie. Musimy zbadać wybrzeże i rafy, a tylko płynąc kajakiem, nie będziemy zakłócać spokoju żyjącym w wodzie stworzeniom.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Przez całe życie przestrzegał pewnych zasad, ale teraz odczuwał pokusę, by je złamać. Wbrew temu, co postanowił sobie na wstępie, miał ochotę znieść narzucony dystans i popływać beztrosko kajakiem w towarzystwie tej pięknej kobiety. Pragnął zaś tego tak bardzo, że na przekór sobie powiedział krótko:

- Nie.

- Nie?

- Nie, Rosie, mam mnóstwo pracy. Musisz popłynąć sama. Skrzyżowała ręce na piersiach, co natychmiast przyciągnęło jego uwagę.

- To jest dwuosobowy kajak - zaproponowała delikatnie.

- Powiedziałem, że jestem zajęty.

Jej oczy rozblęły gniewem. Od początku powinien był wiedzieć, że pod maską delikatności i łagodności Rosie Galvez skrywa ognisty, iście latynoski temperament. Jednak ku jego zdziwieniu, zamiast wygłosić jakąś złośliwą uwagę, uśmiechnęła się tylko i odparła:

- Świetnie. W takim razie zaczekam, aż skończysz swoją pracę.

- Ale...

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, już jej nie było. Mruczając pod nosem, z powrotem zabrał się do roboty.

Kilka minut później kątem oka zauważył jej szczupłą postać, przemykającą ścieżką w stronę plaży. Postanowił ją zignorować, po chwili

jednak oderwał wzrok od komputera, znów spojrzął przez okno i onie-
miał - Rosie miała na sobie jedynie skąpe bikini, jemu zaś błyskawicz-
nie odeszła ochota do pracy. Patrzył, jak jego niepokorna podwładna
siada na ławeczce, smaruje olejkiem nogi, brzuch, ramiona, i czuł, że
robi mu się gorąco. Kiedy zaś zobaczył, jak zanurza się w wodzie, a
potem wyłania z fal w mokrym kostiumie, który klei się do jej zgrab-
nych piersi, jęknął z podniecenia, bez namysłu wyłączył komputer i
szybko zszedł na plażę.

- Wygrałaś! - zawołał. - Bierzemy kajak!

Roześmiała się.

- Bogu dzięki! Zaraz zamarznę. - Podpłynęła do drewnianej drabinki
i wspięła się na pomost.

Mitch nie mógł oderwać od niej wzroku, choć doskonale zdawał so-
bie sprawę, że powinien być bardziej dyskretny.

- Zimna? - zapytał, przytrzymując jej ręcznik.

- Lodowata. - Stała tyłem, a on zarzucił jej ręcznik na plecy i przez
chwilę przytrzymał dłonie na jej ramionach. Rosie pachniała morską
wodą i słońcem. Odwróciła się do niego, lecz nawet się nie cofnął.

- Nie sądzisz, że sytuacja jest trochę niezręczna? - zapytał tylko z
niepewnym uśmiechem.

Wzruszyła ramionami i szczerzej owinęła się ręcznikiem.

- Za piętnaście minut będę koło przystani - odrzekła, kierując się w
stronę plaży. - A jeśli chodzi o twoje pytanie - zatrzymała się na chwilę
i odwróciła w jego stronę - to moja odpowiedź brzmi: nie.

- Co „nie”?

- Sytuacja wcale nie była niezręczna. Przynajmniej dla innie.
Chciałam, żebyś o tym wiedział.

Rozdział 6

Jak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia, myślała Rosie, zanurzając wiosło w krystalicznie czystej wodzie zatoki. Nie miała pieniędzy, stałej pracy ani mieszkania, ale w tej chwili wszystkie te problemy zdawały się odległe i abstrakcyjne. Wystarczyło jej, że jest na tej niezwykłej, rajskiej wyspie, a za towarzysza ma interesującego mężczyznę, by jej serce biło z prawdziwą radością, a duszy chciało się śpiewać.

- Boże, jak dawno nie miałam kontaktu z tak wspaniałą przyrodą - westchnęła. - Teraz to się musi zmienić.

- Dopiero teraz? - zapytał Mitch. - Myślałem, że jako biolog...

- Ech, szkoda gadać - nie pozwoliła mu dokończyć. - Jako biolog siedziałam przez ostatnie kilka lat w laboratorium albo w sali wykładowej ze studentami. Dlatego cieszę się, że znów mam okazję robić badania w plenerze. To najlepsze, co może być w moim zawodzie. - Zanurzyła dłoń w chłodnej wodzie. - Czy wiesz, że w czasach studenckich spędziłam kiedyś całe lato, badając życie seksualne dżdżownic?

- O rany! - roześmiał się.

- Tak, tak. I wierz mi, że to było cudowne lato. Także dlatego, że po raz pierwszy wyjechałam wówczas na wakacje bez rodziny.

- A gdzie mieszkają twoi rodzice?

- W Wenatchee. Utrzymują się z uprawy jabłek.

- Jak wszyscy w tej okolicy, o ile mi wiadomo.

- Zgadza się. Cała piątka mojego rodzeństwa to sadownicy.

Tylko ja jestem w rodzinie czarną owcą. Kiedyś moi znajomi myśleli, że wyrosnę ze swoich dziwacznych zainteresowań, ja jednak wytrwałam i wybrałam inny sposób na życie. Prawdę mówiąc, trochę się tego bałam.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś bać się czegokolwiek, Rosie.

- Dzięki - uśmiechnęła się. - Cały czas pracuję nad sobą. A teraz ty opowiedz o swojej rodzinie - poprosiła bez skrępowania.

- Ja? Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Ojca nie widziałem od czasu, kiedy skończyłem dziewięć lat. Matka rozwiodła się z nim, a potem wyszła za agenta ubezpieczeniowego i zamieszkała z nim w La Jolla. Cała trójka - ojciec, matka i ten agent - przyczyniła się do tego, że już jako całkiem samodzielny młodzieniec musiałem poddać się psychoterapii. Na szczęście na krótko, bo przestało mnie bawić dzielenie się bolesnymi doświadczeniami z dzieciństwa z kimś, kto inkasuje trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę.

- Trzysta siedemdziesiąt pięć? - zdziwiła się szczerze.

Roześmiał się.

- Trzysta siedemdziesiąt pięć. Jeszcze jesteś młoda, Rosie.

Może zmienisz zawód?

Teraz ona się uśmiechnęła. Przestała wiosłować i odwróciła się, by zobaczyć jego twarz. Podobało jej się, że potrafi mówić o sobie z dystansem i humorem, gdy jednak zajrzała mu w oczy, dostrzegła w nich smutek samotnika, który opływa w majątek, ale brakuje mu najważniejszego - miłości.

- Trochę mi cię żal - powiedziała.

- Zupełnie niepotrzebnie. To stare dzieje. Już dawno udało mi się o wszystkim zapomnieć.

- Naprawdę? Ciekawa jestem, w jaki sposób.

- Bardzo prosto. Najlepszą terapią okazała się praca. A mówiąc dokładnie - inwestycje budowlane. To mój żywioł i moja pasja, śmiało mogę tak powiedzieć. Poświęcam temu większość czasu. A kiedy czło-

wiek nie ma czasu myśleć o swoich problemach, szybko stają się nieważne.

- No dobrze, ale co się dzieje, kiedy kończysz pracę? Wzruszył ramionami.

- Zaczynam następną. Zawsze mam co robić.

Rosie Odwróciła się. Słowa Mitcha popsuły jej humor. Gdyby ona mogła tak o sobie powiedzieć: „zawsze mam co robić”. Gdyby ona była tak pewna tego, czym chce się zająć i w jaki sposób zarabiać na życie. Tymczasem jakakolwiek myśl na ten temat wprawiała ją w przygnębienie. Czy nie powinna wrócić do Seattle i poszukać etatu na innej uczelni? Przecież dobrze czuła się w roli wykładowcy, uwielbiała uczyć i wiedziała, że robi to bardzo dobrze. Z drugiej jednak strony, od pewnego czasu zaczęła dusić się w murach uczelni. Dopiero teraz, płynąc kajakiem pod błękitnym, rozświetlonym niebem, zrozumiała, czego jej brakowało - kontaktu z naturą.

Rosie Galvez tęskniła za morzem, pragnęła obserwować żywe organizmy, a nie laboratoryjne egzemplarze. Kto wie, może powinna poszukać pracy przy doglądaniu wielorybów? Zajęcie nie było zbyt dobrze płatne, ale zawsze mogłaby służyć za przewodnika licznym wycieczkom, które przyjeżdżały tu po to, by obserwować te wspaniałe morskie ssaki. Słyszała gdzieś, że turyści dają niezłe napiwki, szczególnie paniąkom w bikini.

Na szczęście na razie miała kontrakt z firmą Mitcha To dawało jej poczucie bezpieczeństwa. I nie tylko to. W jakiś irracjonalny sposób uspokajała ją i dawała komfort psychiczny sama obecność tego mężczyzny, niezależnie od tego, jak bardzo był od niej inny i jak wiele ich dzieliło.

- Rosie? - usłyszała za sobą jego niepewny głos. – Spójrz w lewo, widzę wielką płetwę...

Zwróciła wzrok we wskazanym kierunku i aż zabrakło jej tchu z zachwyty i ze zdumienia.

- Boże - szepnęła - to wieloryby.

- Nie przestraszymy ich?

- Nie, jeśli będziemy zachowywać się cicho. Podpłynęli bliżej i wtedy zauważyli więcej osobników, głównie samice i młode.

- Fantastyczne! Jakie kolorowe! - ekscytował się Mitch, wyraźnie pokrzepiony faktem, że nie mają do czynienia ze stadem rekinów.

- Wspaniale, prawda? - przytaknęła. - Nie ma chyba bardziej fascynujących stworzeń.

Uśmiechnęła się, widząc zachwyty w jego oczach. Powinna cieszyć się tym, że wreszcie dostrzegł w Świerkowej Wyspie coś więcej niż tylko plac budowy, a jednak jej serce wypełnił nagle dojmujący smutek. Położyła na kolanach wiosło, spuściła głowę. Uzmysłowała sobie, że już nie chce stąd wyjeżdżać, że nie ma ochoty wracać do szarej rzeczywistości. Nie ma ochoty, ale będzie musiała. Już za miesiąc.

- Rosie? Co się stało? - Mitch szybko spostrzegł zmianę jej nastroju.

- Nic... - westchnęła, ocierając nagle powilgotniałe oczy. - Myślę po prostu o tym, jak tu pięknie.

- I to jest takie smutne?

- Raczej to, że kiedyś trzeba będzie stąd wyjechać.

- Och, daj spokój, Rosie, musisz wziąć się w garść. Proszę, tylko nie płacz... - Wyraźnie nie wiedział, jak powinien ją pocieszyć. - Denerwuję się, kiedy ktoś podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie. Słyszałaś? Nie płacz. - Podał jej granatową chustkę. - No, proszę cię, wytrzymaj oczy.

Ten niezdamy, lecz czuły gest tylko pogorszył jej samopoczucie. Nie odezwała się więcej ani słowem, bojąc się, że m/beczy się na dobre. Och, to wszystko przez te problemy, myślała. Gdyby nie one, nie zachowywałabym się jak niezrównoważona wariatka.

Tymczasem Mitch uznał, że w takiej formie Rosie nie powinna kontynuować rejsu, i dobił kajakiem do najbliższej skały. Podniósł się, de-

likatnie ujął Rosie pod ramię i pomógł jej wstać.

- Już lepiej? - Wyjął chustkę z jej ręki i niezgrabnym ruchem otarł łzy z policzków.

- Przepraszam cię, Mitch... - Bezwiednie przytuliła twarz do jego silnej dłoni. - Nie uwierzysz, ale to wszystko przez to... że dawno już nie byłam taka szczęśliwa. To dzięki tobie.

- Zaraz, zaraz - przerwał pospiesznie, jednak nie cofnął ręki. - Przecież to ty namówiłaś mnie na ten kajak.

- Ale na wyspie jestem dzięki tobie. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy ten miesiąc. Już myślałam... - urwała, zastanawiając się, czy powinna wtajemniczać go w swoje sprawy. - Zresztą, nieważne - dodała szybko, przypomniawszy sobie wcześniejsze postanowienia. Miało nie być żadnych zwierzeń.

Biedny Mitch. Patrzył na nią zdezorientowany i zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Może i wyjaśniłaby mu wszystko w tej chwili słabości, ale nawet nie potrafiła poukładać swoich myśli. Westchnęła więc tylko i oparła głowę na jego piersi.

Rozdział 7

Przez dwa kolejne dni stosunki między Mitchem a Rosie nie zmieniły się ani o jotę. Może tylko oboje byli ostrożniejsi w swoich gestach i wypowiedziach. Pracowali osobno, lecz posiłki jadali razem, a zamawiali je w miejscowym sklepie, skąd dostarczano je gotowe do podgrzania.

Wieczorem trzeciego dnia Rosie spóźniła się na kolację. Czekaając na nią przy masywnym stole, Mitch oddawał się rozmyślaniom, które burzyły spokój jego serca. Cholera, nikt nigdy nie powiedział mu, że dzięki niemu jest szczęśliwy. Mało tego, Rosie Galvez, piękna Rosie, która działała na niego jak żadna kobieta przed nią, tuliła się do jego dłoni i opierała głowę na jego piersi!

Nie mógł wymyślić nic bardziej beznadziejnego. „Cieszę się, że podoba ci się ta praca” - powiedział, na co ona nie mogła odpowiedzieć inaczej niż: „Przepraszam, Mitch. Nie chciałam się rozkleić. Ostatnio żyję w wielkim napięciu.” Potem odwróciła się zażenowana i przez całą drogę powrotną nie odezwała się ani słowem. A przecież ten moment mógł okazać się dla nich przełomowy.

Usłyszał jej kroki i podniósł głowę. Po chwili weszła do salonu. Była świeżo po kąpieli. Wilgotne włosy spadały miękką falą wzdłuż jej ramion. Miała na sobie tę samą czerwoną sukienkę, w której przyjechała.

- Cześć - przywitał ją, odsuwając dla niej krzesło. - Jesteś głodna?
- Umieram z głodu.

Przeszła obok niego, by zająć swoje miejsce. Poczul świeży zapach płynu do kąpieli, sukienka Rosie musnęła jego plecy.

Zapragnął nagle położyć dłonie na jej nagich ramionach i poczuć ciepło gładkiej brązowej skóry. Oczywiście nie zrobił tego. Po tym, co zdarzyło się na kajaku, bał się kolejnej kompromitacji. Przede wszystkim zaś nie był pewien swoich uczuć i reakcji. Co by było, gdyby znów przytuliła policzek do jego dłoni?

Podsunał jej półmisek z uprzejmym uśmiechem.

- Musisz spróbować kurczaka w rozmarynie, pycha. Dawno nie jadłem czegoś tak dobrego.

Odwzajemniła uśmiech.

- Domyślam się, że nie lubisz gotować?

- Czy ja wiem? Swego czasu byłem mistrzem grillowania, ale wolałbym zaprosić cię do restauracji niż uraczyć przyrządzonym przez siebie stekiem.

- Ja lubię wymyślać nowe potrawy - pochwaliła się. -Któregoś wieczoru przygotuję kolację, zgoda?

- Zgoda - przytaknął ochoczo, podnosząc kieliszek.

I właśnie wtedy, kiedy powoli przestawał czuć się nieswojo w jej towarzystwie, odłożyła widelec, pochyliła się lekko i zajrzała mu w oczy wzrokiem, od którego zrobiło mu się gorąco.

- Posłuchaj, Mitch, jeśli chodzi o tamto popołudnie...

- Zupełnie się tym nie przejmuj - uciał pospiesznie.

Złoty krzyżyk zawieszony na cieniutkim łańcuszku między

jej piersiami drgnął lekko, kiedy się poruszyła.

- Wcale się nie przejmuję. Chcę tylko, żebyś wiedział, że niezależnie od tego, jak emocjonalnie podchodzę do swojej pracy, jestem profesjonalistką. Nie martw się o mnie, nie nawalę. Masz moje słowo.

- Nigdy w to nie wątpiłem - powiedział z zapalem. -Twoja... hm, uczuciowość to tylko nieszkodliwy dodatek.

Poprawiła się na krześle i odetchnęła z ulgą. Krzyżyk zatrzymał się w zagłębieniu jej dekoltu. Choć Mitch wciąż strofował się w duchu, jego wzrok nieustannie wędrował właśnie w tę stronę.

- Cieszę się, że tak uważasz. Bałam się, że uznasz moje zachowanie za tanią komedię.

- Gdyby nawet, to lubię teatr - skłamał.

- Tak? To dobrze. Ja też. Od dziecka grałam różne role.

- Na przykład?

- Różne - postanowiła pozostać tajemnicza. - W każdym razie zawsze ciągnęły mnie role pierwszoplanowe, niezależnie od scenariusza. Kiedy pochodzi się z dużej rodziny, to typowe. Jeśli zadowolasz się rolami pobocznymi, nigdy nie zostaniesz zauważona.

Mitch omiółł znaczącym spojrzeniem jej zgrabną figurę i piękną twarz.

- Akurat ciebie nie można nie zauważyć, Rosie.

Spuściła wzrok i przez chwilę jedli w całkowitej ciszy. Potem wzniesli kolejny toast i podjęli bezpieczniejszy temat -czym powinni się zająć jutro. Zdaje się, że oboje poczuli się nieswojo z powodu tego osobistego wątku w ich rozmowie.

- Jutro powinniśmy zejść wreszcie pod wodę - zaproponowała Rosie.

- A czego będziemy szukać?

- To się okaże.

Mitch nie nurkował od czasu, kiedy był chłopcem. Trochę przerażało go, że woda na wyspie jest zimna, mimo to przystał na jej propozycję. Miał może powiedzieć, że się boi?

- W porządku. A wieczorem możemy wybrać się na kolarcję, co ty na to?

Uśmiech znów zniknął z jej twarzy.

- Wolałabym nie - odparła z wahaniem.

- Nie? Sama sugerowałam, że nie można żyć wyłącznie pracą.

- Tak, ale nie przywiozłam tu zbyt wielu rzeczy. Chyba nie miałabym się w co ubrać.

- Och, moim zdaniem ta sukienka jest odpowiednia - zaprotestował. - Bardzo mi się w niej... - urwał i szybko poprawił: - Jest bardzo ładna.

- Jest - przytaknęła z uśmiechem. - Ale nie nadaje się na takie wyjście.

- To może wybierzemy się na zakupy? W miasteczku jest kilka sklepów.

Większość kobiet, które znał, przyjęłoby tę propozycję z entuzjazmem. Rosie tymczasem spuściła głowę, utkwivszy wzrok w talerzu, zaś uśmiech, który jeszcze przed chwilą zdobił jej twarz, zamienił się w pełen zakłopotania grymas.

- Przykro mi, Mitch. Na zakupy też nie mam ochoty - powiedziała cicho, odstawiając swój kieliszek. - Radzę ci, nie zwracaj sobie mną głowy.

Westchnął bezradnie i pokręcił głową. Oto dlaczego bał się angażować w jakikolwiek związek. Czy kiedykolwiek zdoła zrozumieć, co siedzi w kobiecej duszy?

Postanowił zdobyć się na odwagę i zapytać o to wprost.

- Wybacz, Rosie, ale nie rozumiem. O co ci chodzi? Czy sprawiłem ci przykrość?

Teraz ona westchnęła. Postukała nerwowo palcami o blat stołu, wreszcie wydusiła z siebie, wciąż unikając jego wzroku:

- Mam pewne kłopoty finansowe.

No tak. To oczywiście był w stanie zrozumieć. Wprawdzie sam nigdy czegoś takiego nie doświadczył, ale umiał sobie wyobrazić, co może oznaczać brak pieniędzy. Od razu poczuł się lepiej. Na tym gruncie czuł się zdecydowanie pewniej.

- Jak poważne? - zapytał konkretnym tonem.

- Cóż, całą zaliczkę na wykonanie projektu dla twojej firmy musiałam przeznaczyć na spłacenie długów na kartach kredytowych. Wprawdzie bank jeszcze nie przysłał mi zawiadomienia, że jestem poważnie zadłużona, ale myślę, że wkrótce to nastąpi.

- A co z przelewem z twoją ostatnią pensją? Właśnie skończył się lipiec...

Zamiast odpowiedzi, Rosie roześmiała się tylko.

- Czyżbym powiedział coś śmiesznego? - Mitch speszył się nieco.

Pociągnęła łyk wina i odparła wymijająco:

- Pewnie nie spodoba ci się to, co powiem, ale bardzo często robię debet.

- Robisz debet - powtórzył jak echo.

- No właśnie. Tak jakoś się składa. Przepraszam.

- Mnie nie przepraszaj. To twoje życie. Ale do diabła, Rosie, nie sądzisz, że jesteś trochę nieodpowiedzialna? Banki tylko czekają na takich frajerów. Takie debety są wyżej oprocentowane niż najdroższy kredyt!

- Tak? - Wzruszyła ramionami. - Wybacz, jeśli chodzi o finanse, jestem kompletnie bezradna. Po prostu nad tym nie panuję. Ciągłe sobie obiecuję, że któregoś dnia uporządkuję te sprawy - i nic.

- Jeśli chcesz, mogę ci pomóc. - Z początku pożałował tych być może zbyt szybko wypowiedzianych słów, lecz rozpromieniona twarz Rosie utwierdziła go w przekonaniu, że warto było się zaofiarować.

- Naprawdę, Mitch? Ale to strasznie dużo roboty...

- Tym się nie przejmuj. Po kolacji przynieś mi wszystkie dowody przelewów i komplet rachunków. Napijemy się po kieliszku porto, a ja postaram się coś z tym zrobić.

- Przy przeglądaniu moich rachunków możesz potrzebować czegoś mocniejszego niż porto.

- Czyżby było aż tak tragicznie? - spytał ze śmiechem. - W porządku, mam szkocką whisky.

- Na tym koncie zostało ci dziewięć centów - oznajmił Mitch, kiedy godzinę później skończył przeglądać rachunki Rosie.

Położyła dłonie na stole i obserwowała go z zachwytem. Czowała się jak licealistka, która właśnie zadurzyła się w przystojnym korepetytorze. Jedwabiste miękkie włosy łagodnie opadły na czoło Mitcha. Do czytania założył okulary w rogowych oprawkach, w których nie powinien wcale wyglądać pociągająco - a jednak, na przekór wszystkiemu, wyglądał. Wy dawał jej się tak atrakcyjny, że prawie wybaczyła mu

to, iż według jego obliczeń warta była jedynie dziewięć centów.

- Jesteś pewien, że tylko dziewięć? - spytała delikatnie.

- Sprawdziłem trzy razy. Zważywszy na to, co powiedziałaś, uważam, że to i tak niezły bilans.

- Dziewięć centów... - powtórzyła, popijając z zadumą swoje porto.

- Cóż, widocznie na tyle zasługuję - przyznała samokrytycznie.

W przeszłości nieraz była w podobnych tarapatach, ale zawsze udawało jej się jakoś wyplątać. W takim razie dlaczego tym razem odczuwała niepokój? Czy dlatego, że mając prawie trzydziestkę, uświadomiła sobie wreszcie, że życie to nie tylko beztrioska zabawa?

Mitch przerzucił stertę papierków, w pośpiechu i byle jak powrzucających do kolejnego pudełka.

- Teraz sprawdzimy inne konta. Czy pozostałe rachunki też są w takim stanie?

- Hm, przygotuj się na najgorsze.

Zdjął okulary i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Strzelaj.

- Nie mam innych rachunków. To wszystko - odparła i roześmiała się nerwowo.

- Bardzo zabawne, pani doktor.

- Ale ja wcale nie żartuję.

Mitch włożył z powrotem okulary.

- Czy chcesz powiedzieć, że te dziewięć centów to twoje jedyne pieniądze?

- W zasadzie tak. Wprawdzie uniwersytet założył mi polisę ubezpieczeniową, ale pracowałam tylko dwa lata, więc uzbierało się tam niewiele. Zresztą, nie mogę tknąć tych pieniędzy aż do emerytury. A jeśli bym to zrobiła, musiałabym spłacić je co do centa w przypadku, gdybym chciała wrócić do pracy na uczelni.

- Zaraz, zaraz...- Mitch nerwowo obrócił ołówkiem w palcach.

- Jak to wrócić? Myślałem, że wykładasz na uniwersytecie.

- Tak było. Nie okłamałam cię, Mitch.

- Ale już tego nie robisz?

Zmusiła się, aby patrzeć mu w oczy. Nie znosiła kłamstwa, a poza tym wiedziała, że nie umie kłamać.

- Zwolniono mnie zaraz po tym, jak przyjęliście moja ofertę. W Rainshadow Lodge miałam sobie dorobić, a okazało się, że to moja jedyna praca.

- Przepraszam, że pytam - Mitch przeganiał dłonią włosy - ale czy mógłbym wiedzieć, dlaczego cię zwolniono?

- Redukcja etatów - odparła krótko. - Mojej katedry nie było stać na opłacanie dodatkowych wykładów. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Tak więc ogłoszenie pani Lovejoy naprawdę spadło mi z nieba. Ale zanim wyjechałam, musiałam pozbyć się mieszkania. Było służbowe.

- Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że masz dziewięć centów na koncie i nie masz pracy ani mieszkania?

- Nie mogłeś tego lepiej ująć. Zapomniałeś tylko o samochodzie.

- Racja. Masz jeszcze samochód, który nie nadaje się do użytku. - Przez chwilę zdawało jej się, że w jego głosie zabrzmiała kpina, jednak to, co dodał, uświadomiło jej, że Mitch jest raczej zdumiony niż zdeustowany jej sytuacją. - A mimo to jesteś jedną z najszcześniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Roześmiała się.

- No nie, nie jestem szczęśliwa z powodu stanu moich finansów, nie przesadzaj.

- Jakoś nie widzę, żebyś wpadała w czarną rozpacz.

- A czy to by coś zmieniło?

- Nie, ale... - zawahał się. - W twojej sytuacji rozpacz byłaby zrozumiała. A jeśli nie rozpacz, to przynajmniej jakikolwiek objaw zderzenia nerwowania.

- Wyznam ci szczerze: zaczynam się denerwować.
- Zaczynasz! Inny na twoim miejscu dawno by się powiesił!
- E, tam, Mitch. Po co zaraz się wieszać - odezwała się takim tonem, jakby to ona miała go pocieszać, a nie on ją. - Jestem córką sadowników, mój drogi. Mam piątkę rodzeństwa. Myślisz, że nie doświadczyłam prawdziwej biedy? Nieraz całe zbiory jabłek niszczyły szkodniki. Bywały też wspaniałe lata, kiedy zbieraliśmy mnóstwo owoców, ale wtedy ich cena spadała i zarabialiśmy grosze. Ja naprawdę się przekonałam, że nie ma sensu wpadać w rozpacz z powodu pieniędzy, bo te raz są, a raz ich nie ma. Nauczyłam się doceniać to, co mam, i jestem wdzięczna losowi za to, kim jestem. Jestem zdrowa, mam wspaniałą rodzinę... psy
- uśmiechnęła się z czułością, patrząc na psiaki wyciągnięte na kanapie. - Czy to mało?
- Ale kiedyś przyjdzie dzień, kiedy zabraknie ci pieniędzy nawet na jedzenie dla tych bestii.
- Już przyszedł.
- No właśnie.
- O rany, co w takim razie mam zrobić? - wybuchnęła.
- Poprosić cię o jałmużnę?
- Na początek mogłabyś się wykazać większym rozsądkiem w kwestii planowania wydatków. Musisz zacząć szanować pieniądze, Rosie.
- W porządku. A wtedy stanę się taka jak ty.
- O co ci chodzi? - Mitch poruszył się nieswojo.

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Masz mnóstwo pieniędzy, to prawda - zaczęła, składając ręce na piersiach. - Jeśli jednak nie zwolnisz tempa, całkiem niedługo będziesz mógł zabrać je sobie na tamten świat. Popatrz tylko: możesz kupić wszystko, o czym zamarzysz, możesz pojechać, gdzie tylko zechcesz, robić, co ci się podoba. I co robisz? Pracujesz. A kiedy skończysz jedną robotę, znajdujesz sobie następną. To ma być sposób na szczęśliwe życie?

Mitch nawet się nie poruszył.

- Ale właśnie to daje mi szczęście - powiedział po chwili. - Zapewniam ludziom pracę, dzięki moim wysiłkom powstają hotele, fabryki, mosty, supermarkety. Nie uważam, żebym marnował swoje życie.

- Oczywiście, przynajmniej nie w tym sensie - przyznała pospiesznie. - Ale oprócz sukcesów zawodowych jest jeszcze coś, czego potrzebuje każdy z nas: życie wewnętrzne. - Popatrzyła na niego, jakby zastanawiała się, czy powinna mówić dalej. Mogła go obrazić, to prawda. Jednocześnie jednak rozumiała, że jej na nim zależy i że prócz siły, zdecydowania oraz pragmatycznego umysłu jest w Mitchu Rutherfordzie jakaś delikatność, kruchość, wrażliwość. Dlatego właśnie ośmieliła się dokończyć: - Kiedy patrzę na ciebie, Mitch, widzę pustkę.

- Dzięki - uśmiechnął się kwaśno.

- Nie obrażaj się. Wiesz przecież, o co mi chodzi. Widzę kogoś, kto coś stracił. Coś ważnego.

- W takim razie masz kłopoty ze wzrokiem - odparł tym razem bez cienia uśmiechu - bo ja jestem bardzo zadowolony ze swojego życia osobistego. I wewnętrznego też.

- Czyżby? Wiem, że jesteś świetnie zorganizowany, efektywny, solidny. Naprawdę to doceniam. Ale kiedy pomyślisz na przykład o kilku ostatnich dniach, co przychodzi ci na myśl? Która chwila jest dla ciebie najbardziej warta zapamiętania?

- Podniosła rękę, dając znak, aby jej nie przerywał. - Nie zastanawiaj się nad odpowiedzią. Po prostu powiedz, o której chwili myślisz? O tym, jak rozwiązałeś plan finansowania budowy przystani, czy o spotkaniu z wielorybami? O uporządkowaniu moich rachunków czy o wczorajszym śniadaniu na werandzie?

- O tym, jak trzymałem cię w ramionach! - wybuchnął, zirytowany jej wyliczanką i Rosie natychmiast zamilkła.

Rozdział 8

Mitch nie mógł uwierzyć, że się do tego przyznał. Rosie, zdaje się, tym bardziej, bowiem jej policzki zaróżowiły się, co zresztą tylko dodało jej uroku.

- Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam - powiedziała.

- Jeśli mam wybierać między wielorybem a Rosie, wybieram Rosie - próbował żartem pokryć obopólne zmieszanie.

- Co za ulga.

- A co? Byłaś zazdrosna?

Uśmiechnęła się.

- Raczej mało spostrzegawcza. Przepraszam, Mitch. Nie mam żadnego prawa cię oceniać. A co najważniejsze, myliłam się co do ciebie. Jeśli jeszcze mi powiesz, że masz skromny domek ogrodzony drewnianym płotem, codziennie o świcie oddajesz się medytacji i pracujesz jako wolontariusz w domu opieki społecznej...

- Uważasz, że taki powinienem być? - zapytał i podrapał się z kłopotaniem po głowie.

- Niekoniecznie - roześmiała się. - Ale człowiekowi powinno zależeć na czymś więcej niż interesy, prawda?

- Niby dlaczego?

- Bo w przeciwnym razie nie będziesz się niczym różnił od swojego laptopa.

- Kiedy mój laptop jest bardzo szczęśliwy!

- Och, Mitch... - jęknęła zrezygnowana.

- Dobrze, dobrze. Wiem, co masz na myśli. Dzięki za poradę, ale o ile pamiętam, nie zatrudniałem psychoterapeutki tylko biologa. Masz przeprowadzić zupełnie inne badania, Rosie - przypomniał jej, wycią-

gając z pojemnika nowy ołówek.

- A tymczasem pozwól, że pokażę ci, co zrobić, żeby pieniądze nie przeciekały ci przez palce. To naprawdę nic trudnego. Zobaczysz, że od razu poczujesz się lepiej.

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

- Mów śmiało - powiedział, zadowolony, że kwestia jego niefortunnej wypowiedzi sama się rozwiązała.

- Musisz pozwolić, żebym ja nauczyła cię w zamian czegoś, w czym jestem bardzo dobra.

- A cóż to takiego?

- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Musisz po prostu mi zaufać. - Podwinęła pod siebie nogi i oparła głowę na łokciach, pochylając się ku niemu tak, że nie mógł nie spojrzeć w rozchyłony dekolt jej sukienki. - Zgoda?

- Zgoda - odparł posłusznie.

- Świetnie. A teraz, czarodzieju, zaprowadź porządek w moich finansach.

Przez następne dwie godziny Mitch dokładnie analizował każdy wyciąg bankowy i każdy rachunek. Odkrył, że pani doktor zarabiała na uczelni zdumiewająco niewiele. Jeszcze bardziej zdumiewające było jednak dla niego to, że ten poziom zarobków w ogóle jej nie martwił. Nawet nie chciał wyobrażać sobie, jak on dałby sobie radę z takimi pieniędzmi.

- Co to za zapis? - spytał, podsuwając jej pomiętą kartkę.

- Ach, to pożyczka dla mojego najstarszego siostrzeńca. Na marginesie jest adnotacja, że nie będę domagać się zwrotu pieniędzy.

- W twoich dokumentach jest mnóstwo takich adnotacji - zauważył.

- Bo mam dużą rodzinę.

- Z tego co wiem, jej członkowie nie są na twoim utrzymaniu.

- Pomagamy sobie nawzajem, Siostrzeniec potrzebował pieniędzy na przybory malarskie. W zeszłym roku otworzył własny interes. Wiem

za to, że zjawi się u mnie, ilekroć będę go potrzebować.

- Rozumiem, że kiedy twój kontrakt dobiegnie końca i otrzymasz swoje honorarium, przyjedzie tu, żeby ci pomóc? - spytał uszczypliwie.

Rosie wyduła wargi.

- Jeśli tylko go poproszę. Ale nie zrobię tego. A gdyby nawet, to starczy i dla niego, i dla mnie. Nie zapominaj, że umówiłam się z twoją firmą na ogromną sumę.

- Ogromna suma? - Zmarszczył brwi. - Pani Lovejoy nic mi o tym nie wspominała.

Rosie poszperała w pudełku, po czym wyjęła z niego egzemplarz umowy. Mitch przerzucił kilka stron w poszukiwaniu zakontraktowanej sumy. Nie wydała mu się wygórowana i na pewno nie nazwałby jej ogromną, lecz biorąc pod uwagę dotychczasowe zarobki Rosie, rozumiał, że ona ma prawo tak uważać.

- I co? Wrobiła cię? - zaniepokoiła się. - Posłuchaj, jeśli to za dużo pieniędzy...

- Nie, nie, w porządku - przerwał jej. - Poleciałem pani Lovejoy znaleźć najlepszego specjalistę, nieważne za jaką cenę. I ona to zrobiła.

Rosie posłała mu rozbrajający uśmiech.

- Och, Mitch, dziękuję.

Kiwnął głową i wrócił do przeglądania jej rachunków. Nagle pomiędzy karteczek i karteluszek wysunęła się złożona na pół koperta. Zaintrygowany otworzył ją i wyciągnął ze środka czek wystawiony na nazwisko Rosalindy Galvez.

- Wiesz co - powiedział lekko poirytowany - pierwszą zasadą jest nie gubienie własnych czeków.

Wyrwała mu go z ręki i zawołała z radością:

- Czek z moją czerwcową pensją! Wszędzie go szukałam! A więc wcale nie jestem spłukana!

- Teraz powiem ci, co powinnaś z nim zrobić. - Otworzył notes i

cierpliwie wyjaśnił jej, w jaki sposób powinna wykorzystać będącą do dyspozycji sumę. Słuchała go pilnie, a kiedy skończył, kiwnęła z uznaniem głową.

- Masz rację. Nie miałam pojęcia o tych wszystkich kontach, subkontach, sposobach rozliczania kart kredytowych. Boże... - pokręciła głową.

- Co znowu?

- Przeraża mnie to, że będę musiała tyle uwagi poświęcać pieniądzom.

- W życiu bywają większe zmartwienia.

- Ja wiem jedno: pieniądze nie dadzą mi szczęścia - odparła z przekonaniem. - Zrozumiałam to dawno temu.

- Aha. Wyszło szydło z worka. Z dzieciństwa wyniosłaś uraz do ludzi bogatych. To dlatego chcesz mi obrzydzić moje pieniądze, przyznaj. Czyżby jakiś bogacz wyrzucił cię z kołyski?

- Bardzo zabawne - warknęła urażona.

Mitch położył dłonie na jej dłoniach. Zupełnie nie spodziewała się takiego gestu z jego strony. Prawdę mówiąc, on też był zaskoczony swoją śmiałością.

- Przepraszam, Rosie. To nie był dobry żart. – Popatrzył jej w oczy.

- Skoro już jednak o tym mówimy, chciałbym ci pomóc. Nie chcesz mi powiedzieć, skąd ta twoja niechęć do kochanych pieniążków?

Spojrzała na ich splecione dłonie i odparła szczerze:

- Widzisz, Mitch, ja zbyt łatwo się zakochuję...

-Tak?

- I kocham zbyt mocno - dodała z przejęciem, nie bacząc na to, że dłonie Mitcha spotniały nagle, a wzrok stał się lekko zmacony. - Trzy razy w ciągu ostatnich sześciu lat.

- Zakochałaś się.

- Mhm. Chyba nie świadczy to o mnie najlepiej, co?

- Nie, dlaczego? Nie widzę tylko żadnego związku...

- Z pieniędzmi? Cóż, to pieniądze nas rozdzielały, choć za każdym

razem myślałam, że spotkałam księcia z bajki i że to będzie miłość do końca życia.

Mitch poczuł ukłucie zazdrości. Może było to niedorzeczne, ale pragnął w tej chwili być jej księciem z bajki i miłością do końca życia.

- Powiedziałaś, że rozdzielały was pieniądze...

- Dokładnie tak. - Wyjęła dłoń spod jego ręki i palcami potarła skroń. - Zawsze okazywało się, że pieniądze są ważniejsze niż nasz związek. Rudy'emu zaproponowano awans, z którego „po prostu nie mógł zrezygnować”. Więc zostawił mnie, bo nie chciałam porzucić wszystkiego i przeprowadzić się z nim do Fargo. Rafael pracował szesnaście godzin na dobę, bo nadgodziny były płacone podwójnie, i nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby trochę zwolnić tempo. No a Ron... Boże, naprawdę kochałam tego faceta...

- Powiedz tylko, jak to się skończyło - ponaglił ją Mitch.

- Hm, pamiętasz tę ogromną wypłatę na wyciągu z ubiegłego roku?

- Tę, po której byłaś na minusie przez następne osiem miesięcy?

- To był pożegnalny prezent od Rona.

- Chcesz powiedzieć, że ukradł ci te pieniądze?

- Zgadza się.

- Faktycznie, książkę z bajki - zakpił.

- Zaczynam powoli dochodzić do wniosku, że jestem po prostu naiwna - powiedziała ze smutkiem. - W każdym razie jedno jest pewne: najlepsze chwile w życiu przeżywam nie wtedy, kiedy mi się dobrze powodzi, ale wtedy, gdy jestem splukana.

Tak jak teraz? - chciał zapytać, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Powinnaś na to spojrzeć z innej strony – powiedział w zamian. - Mówisz, że za pieniądze nie kupisz szczęścia i że nic nie są warte. Ale skoro nic nie są warte, to nie mają chyba takiej mocy, żeby uczynić

cię nieszczęśliwą. Po prostu niech sobie leżą na twoim koncie, a ty nie zwracaj na nie uwagi.

- Na mężczyzn, którzy mają coś wspólnego z pieniędzmi, też? - Wyjęła z pudełka płytę kompaktową. - W porządku. Teraz pozwól, że ci się odwdzięczę za uporządkowanie moich finansów. Obiecałeś, że się zgodzisz - dodała, manipulując przy odtwarzaczu.

- Czy to znaczy, że ty także zamierzasz coś uporządkować w moim życiu? - spytał podejrzliwie.

- Tak. Twoją hierarchię wartości - odparła, po czym odwróciła się, wyciągając do niego ręce. Z początku nie zrozumiał tego gestu, zaraz jednak pokój wypełniły radosne dźwięki salsy i Mitch jęknął ze zgrozą:

- Tylko nie to!

- Dlaczego nie? To makarena! - Rosie zbliżyła się do niego, zmysłowo kołyszając biodrami.

Zaśmiał się nerwowo.

- O, nie, nie. Na to mnie nie namówisz - zaprotestował. - Nie tańczę.

- Tchórz! - Jej ciało poddało się ochoczo gorącym rytmom. - Zobacz, jakie to proste!

- Przepraszam, pani doktor. Nie dla mnie takie pląsy.

Próbował zachowywać się nonszalancko, czuł jednak, że krew uderza mu do głowy z podniecenia. Z zachwytem patrzył na jej płynne, uwodzicielskie ruchy, na rozkołysane biodra i uda, które odsłaniały się pod zwiewną minisukienką. Czuł ciepło jej ciała, widział falujące piersi, długie włosy Rosie niemal ocierały się o jego twarz.

- No, wstań, Mitch! - powiedziała ze śmiechem i chwyciła go za ręce. - Rusz się! Ja nie miałam ochoty siedzieć nad tymi rachunkami, a jednak zrobiłam to, żeby sprawić ci przyjemność. I wiesz co? Wcale nie żałuję! Przynajmniej czegoś się nauczyłam. - Chwyciła go za rękę. - Proszę, teraz ty zrób mi przyjemność... Może nawet czegoś się nauczysz?

Wstał z ociąganiem, a ona pociągnęła go na środek pokoju.

- Gotowy? To uważaj. Rób to samo, co ja. - Położyła na biodrze jedną dłoń, potem drugą. Mitch zaczął ją naśladować.

- Świetnie! Tylko nie możesz być taki sztywny. Musisz poczuć rytm. Uważaj teraz! - Dotknęła swojego ramienia i pochyliła się nieco, odsłaniając bardziej dekolt. Pokazała mu następną figurę i wtedy przyznał w duchu, że jeśli chodzi o podobne figle, ta kobieta nie ma sobie równych.

- Jak mi idzie? - zapytał bez przekonania.

- Wspaniale! Tylko trochę się wyluzuj! - Uśmiechnęła się zachęcająco. - I jak się czujesz, czarodzieju?

- Chyba nie jestem w tym najmocniejszy.

- A widzisz, jak to jest, kiedy musisz robić coś, do czego nie jesteś stworzony?

- Dzięki za komplement.

Roześmiała się.

- Nie czujesz rytmu przez te buty. Musisz je zdjąć. Wiedział, że nie ma sensu protestować, więc posłusznie zsunął z nóg miękkie pantofle od Gucciego. Rzeczywiście, poczuł się lżejszy, mniej skrępowany. Dzielnie spróbował powtórzyć cały układ.

- Fantastycznie! - wykrzyknęła z zachwytem. - Wiedziałam, że się nauczysz! Teraz ręce. I biodra. Biodra-biodra-ra-mię-ramię... I znowu!

Nagle zgubił rytm i z rezygnacją machnął ręką.

- Rosie, daj spokój...

- Nie poddawaj się! - krzyknęła. - Jeszcze raz! - Stała tuż przed nim, prawie dotykając plecami jego torsu. Z wrażenia zakreśliło mu się w głowie. Przypomniały mu się jej słowa: „zbyt łatwo się zakochuję i kocham zbyt mocno”. - Widzisz?-spytała rozbawiona. - Czujesz to?

- Rzeczywiście, coś czuję. Nie wiem tylko, czy „to” - mruknął, ale jego słowa zagłuszyła muzyka.

Tym razem poszło mu łatwiej. Tańczył. I sprawiało mu to ogromną

przyjemność. No, może nie sam taniec, ale to, że mógł jej dotykać. Krew uderzyła mu do głowy, kiedy więc Rosie odwróciła się twarzą do niego, przyciągnął ją do siebie i przycisnął jej szczupłe biodra do swych bioder niczym prawdziwy latynoski *macho*. Uśmiechnęła się z uznaniem i pozwoliła, aby jej ciało poddało się rytmowi jego ruchów. Niestety, utwór dobiegał końca.

Zaraz jednak był następny - rzewna hiszpańska ballada. Czekać na pierwsze takty, Mitch oparł partnerkę o regał z książkami i przysunął usta do jej pełnych, czerwonych ust. Już prawie ich dotykał, kiedy...

- Hej, Mitch! - zawołała wesoło. - Widzę, że załapałeś już, o co w tym chodzi!

I zanim zdążył się zorientować, wyswobodziła się z jego objęć i podbiegła do odtwarzacza. Po chwili w pokoju zaległa cisza.

- Późno już - powiedziała, wyjmując płytę, po czym zebrała ze stołu wszystkie papiery i upchnęła je w pudełku. Włożyła je pod pachę, uśmiechnęła się do niego i pomachała mu paluszkami na do widzenia. - Dobranoc, mój tancerzu. Słodkich snów.

Mitch patrzył ze ściśniętym gardłem, jak wchodzi po schodach, a brzeg jej krótkiej sukienki unosi się kusząco, odsłaniając kształtne uda.

- Dobranoc, Rosie - wyszeptał.

Rozdział 9

Następnego ranka zamiast szykować się do wyjścia z domu, Rosie obserwowała strugi deszczu spływające po szybie. Poprzedniego wieczora postanowiła wyjść skoro świt i cały dzień spędzić z dala od Mitcha. Jego bliskość była zbyt niebezpieczna. Potrzebowała samotności, spokoju i czasu, aby wszystko przemyśleć.

Czuła, że jest o krok od kolejnego zadurzenia. Ona, która jeszcze niedawno przyrzekała sobie, że będzie trzymać się z daleka od mężczyzn, była na najlepszej drodze, aby sparzyć się jeszcze raz. Tego bowiem, że się sparzy, była niemal pewna. Przecież znowu wybrała niewłaściwego mężczyznę.

Przejrzała zawartość walizki i wyjęła z niej szarą koszulkę z uniwersyteckim herbem - idealną na paskudną, deszczową pogodę. Włosy związała w kucyk, nałożyła tenisówki i zeszła na dół, zdecydowana pozostać całkowicie odporną na urok Mitcha Rutherforda

Co z tego, że wiedział, jak ją pocieszyć? Co z tego, że nie czuł się dotknięty, kiedy śmiała się z niego? I że sama myśl o jego ustach sprawiała, że iloraz jej inteligencji spadał o jakieś pięćdziesiąt punktów? Miała być jego współpracownicą, a nie dziewczyną. Podwładną, a nie kochanką.

Gdy jednak ujrzała, że Mitch zaparzył dla niej poranną kawę, jej silna wola zaczęła topnieć jak wiosenny śnieg.

- Chyba nici z nurkowania - odezwał się obojętnym tonem na jej widok. Siedział przy stole w swoich okularach w rogowych oprawkach i czytał „Wall Street Journal”. - Dobrze spałaś? - spytał, kiedy zajęła miejsce naprzeciwno.

- Owszem - skłamała. Prawda była taka, że leżała bezsennie kilka godzin, rozpamiętując moment, kiedy rozbrzmiały dźwięki hiszpańskiej ballady. - Ejże, czy to nie dzisiaj masz spotkać się z tym przedsiębiorcą budowlanym?

- Tak. Ale nic z tego nie wyjdzie. Rano zadzwonił z Eastsound i powiedział, że nie dotrze z powodu pogody.

Pociągnęła łyk kawy. Była doskonale przyrządzona - aromat aż kręcił w nosie, a gęsta pianka unosiła się na powierzchni. Sięgnęła po banana i jogurt.

- Skoro i tak trzeba zostać w domu, to może przejrzę jeszcze raz wyniki badań? - zastanawiała się głośno. Podparła ręką podbródek, wodząc wzrokiem po pokoju. - Chociaż nie. Wiem, co chciałabym zrobić...

- Co takiego?

- Marzę o tym, aby trochę pobuszować po tym wspaniałym domu.

- Przepraszam, że pytam - spojrzał na nią znad gazety - czy to ma coś wspólnego z moim projektem?

- Nic, szefie - przyznała zmieszana. - Cofam to, co powiedziałam.

- Dobrze, dobrze. To ja cofam swoje słowa. Należy ci się trochę wolnego. Dziś możesz robić, co ci się podoba. Nie wiem tylko, czy „buszowanie po domu” to najlepszy pomysł.

- A masz lepszy? - spytała.

Mitch uderzył opuszkami palców w klawiaturę laptopa.

- Ja się nigdy nie nudzę. Mam zajęcia na cały dzień.

Uśmiechnęła się z przekąsem.

- W takim razie gratuluję oryginalności. Ja wyruszam na wyprawę w poszukiwaniu skarbów.

- Można wiedzieć dokąd?

- Do piwnicy - odparła i wyjęła z kuchennej szafki latarkę.

Piwnica składała się z czterech pomieszczeń przedzielonych prowizorycznymi ściankami i z pewnością nie była odnawiana jak reszta domu. W pierwszym pomieszczeniu nie było nic prócz gęstych paję-

czyn i kilku zaplątanych w nie ogromnych pajaków. W następnym stały stare meble ogrodowe, a kolejne było składowiskiem narzędzi. Ostatnie natomiast okazało się zupełnie puste.

Rosie westchnęła z rozczarowaniem i już miała je opuścić, kiedy w przeciwnym rogu zauważyła jakiś błyszczący przedmiot. Zaintrygowana, podeszła bliżej i ku swemu zaskoczeniu odkryła, że ciemności skrywają wcale pokaźną kolekcję win. Wzięła do ręki pierwszą z brzegu zakurzoną butelkę i po dokładnych oględzinach w świetle latarki postanowiła zabrać ją na górę.

Mitcha znalazła w gabinecie. Siedział przed komputerem.

- Znudziło ci się buszowanie? - spytał, podnosząc głowę znad klawiatury.

- Może. - Wzięła ze stołu papierową serwetkę i wytarła nią butelkę.
- Co powiesz na to?

- Mmm... Wino domowej roboty. - Podniósł się z miejsca i przyjrzał się etykietce. - Pochodzi jeszcze z lat dwudziestych! Założę się, że to nielegalna produkcja z czasów prohibicji.

- Ciekawe, czy jeszcze jest dobre?

- Przekonamy się wieczorem.

- Chcesz to pić? - zdziwiła się.

- A dlaczego nie? - Wzruszył ramionami.

- Przecież to nie nasze...

- Znalezione, nie kradzione.

Roześmiała się.

- Jak chcesz, szefie. - Odłożyła latarkę. - Oprócz tego nie znalazłam niczego więcej. Teraz wyruszam na strych.

- Proszę bardzo. Znalazłem nawet dla ciebie lepszą latarkę.

Rosie odetchnęła z ulgą. Atmosfera między nimi wcale nie była duszna i napięta. Owszem, wczorajszej nocy trochę poszaleli, ale zdaje się, że sytuacja wróciła do normy.

Pod okienkiem w suficie postawiła małą drabinę i ostrożnie wspięła się na górę. Strych oświetlony był przez wąskie smużki światła, wpada-

jącego tu przez otwory wentylacyjne w dachu. Z umieszczonego pośrodku komina promieniowało przyjemne ciepło, zaś pod ścianami porozstawiane były najrozmaitsze przedmioty, które mogłyby z powodzeniem zawędrować na wystawę sklepu z antykami - wiekowe meble i mebelki, plecione koszyki, tekturowe pudełka, a nawet stare zabawki.

Na regale pełnym książek pochodzących z lat dwudziestych znalazła tylko jeden znajomy tytuł. Wzięła książkę do ręki i próbowała wyobrazić sobie jej właściciela.

Czy to on spał w tym ogromnym małżeńskim łożu, stojącym teraz obok półki z książkami? Czy jego dziecko bawiło się tymi zabawkami? Czy jego żona odpoczywała w bujanym fotelu z wiklinowym oparciem?

Następne odkrycia jeszcze bardziej pobudziły jej wyobraźnię. W jednym z pudełek znalazła stary fonograf i kilka porysowanych, zakurzonych płyt. Oświetlając je latarką, odczytała tytuły: „Gwiazdy w moich oczach”, „Namaluj mnie” i „Księżycowy walc”. Wydały jej się niezwykle zabawne, więc przetarła z kurzu jedną z nich i nałożyła na tarczę fonografu. Kiedy po chwili usłyszała przytłumione dźwięki, aż zachichotała z zachwytu.

Słuchając starej piosenki, zabrała się do przeglądania zawartości antycznej szafy. Koronkowe rękawiczki, wachlarz, kapelusze, biżuteria i buty zachowały się doskonale. Bez chwili namysłu Rosie ściągnęła swoją koszulkę i przebrała się w złocistą jedwabną suknię. Leżała na niej idealnie. Poczła się jak mała dziewczynka, która po kryjomu przebiera się w sukienki mamy. Na nogi włożyła sznurowane buty za kostkę, rozpuściła włosy i nasunęła kapelusz ozdobiony z boku drobnymi żółtymi piórkami.

Teraz nie była już sobą, ale dziewczyną z innej epoki. Zamknęła oczy i zaczęła poruszać się w rytm muzyki. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Mitcha w smokingu i z modnym przed stu laty wąsikiem. Wizja ta była tak sugestywna, że przez chwilę zdawało się jej, iż rzeczywiście tańczy w jego ramionach.

I właśnie wtedy usłyszała głos prawdziwego Mitcha Rutherforda:

- Można wiedzieć, z kim tańczysz, Rosie?

- Ojej! - Otworzyła gwałtownie oczy i zamarła na jego widok. Za chwilę poczuła, jak jej policzki oblewają się purpurą. - Muszę głupio wyglądać w tej sukni, no nie? - bąknęła.

- Nie, Rosie. Wyglądasz pięknie - odparł i ten komplement speszył ją jeszcze bardziej.

- Po prostu nie mogłam się oprzeć, żeby jej nie przymierzyć.

- Rozumiem. - Podeszedł bliżej i delikatnie położył palec na jej ustach. Piosenka skończyła się i igła fonografu zaczęła trzeszczeć, szorując po ostatnim rowku na płycie. - Nie musisz się tłumaczyć.

- Naprawdę?

- Jasne. - Jego dłoń powędrowała niżej, przesuwając się po ramieniu, aż dotknęła nadgarstka. Musiał wyczuć, jak gwałtownie wzrosło jej tętno. - Po wczorajszej makarenie nic już mnie nie zdziwi - uśmiechnął się i przysunął ją bliżej siebie, tak że musnęła osłoniętą jedynie cienkim jedwabiem pierśią jego twardego torsu. - Posłuchajmy tego - powiedział, nastawiając fonograf. - Zatańczysz?

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Wczoraj dałaś mi do zrozumienia, że jestem sztywnym nudziarzem. Chciałbym ci udowodnić, że jest inaczej. - Ujął ją za rękę i objął ramieniem, stawiając niepewne kroki walca.

- Znowu nie czujesz rytmu - roześmiała się, przerywając niewygodne milczenie. - Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... O, właśnie tak!

Wyrównał krok i zaczęli wirować wśród starych mebli w rytm wiedeńskiego walca. Gdy zaś muzyka ucichła, Mitch skierował Rosie w stronę ogromnego łóża i lekko oparł ją o wezłowie. To już nie była zabawa. Poczowała, jak ogarnia ją podniecenie, jak traci nad sobą panowanie. Chciała wyswobodzić się z uścisku i uciec, ale ciało od-

mówiło jej posłuszeństwa.

- Pani doktor... - Dłonie Mitcha błędziły po jej smukłych ramionach, masowały kark i plecy. - Czy dobrze mi się wydaje - spytał zduszonym z podniecenia głosem - czy nie ma pani nic pod tą suknią?

- Bardzo dobrze - westchnęła, a potem zamknęła oczy, całkowicie poddając się jego pieścizotom.

On tymczasem nie spieszył się. Powoli zsunął z jej głowy kapelusz i delikatnie zdjął rękawiczki, jedną po drugiej. Wreszcie ujął w dłonie jej twarz i szepnął, patrząc jej prosto w oczy:

- Pragnę cię, Rosie.

- Wiem. Ja ciebie też.

- Marzyłem, by to usłyszeć.

Nachylił się i pocałował ją ostrożnie. Rosie wydała z siebie cichy jęk i zarzuciła mu ręce na ramiona, przyciskając go mocniej do siebie. Pragnęła, aby ten pocałunek trwał wiecznie, jednak Mitch nieoczekiwanie oderwał usta od jej warg i zaśmiał się lekko z jej mimowolnego protestu. Zdumiona patrzyła, jak klęka przed nią, zaczyna powoli rozsznurowywać jej -but i delikatnie zsuwa go z bosej stopy. Potem zdjął drugi i trzymając na dłoni jej piętę, pochylił się, aby pocałować palce. Zaraz potem przesunął usta wyżej, do kolan. A potem jeszcze wyżej...

Rosie wciągnęła gwałtownie powietrze. Czy nie powinni najpierw porozmawiać, przemknęło jej przez myśl. Czy nie powinni ustalić pewnych spraw? Podjąć decyzji jak dorośli ludzie?

Nie. Nie teraz, kiedy jego dłoń błędziła już pod sukienką. Nie musieli o tym dyskutować. Przecież już zdecydowali. Wczoraj wieczorem zapragnęli zostać kochankami, choć żadne z nich o tym nie wspomniało. Dlatego teraz miękko opadła na łóżko i powiedziała cicho, ale stanowczo:

- Chodź, Mitch...

Jedwabna sukienka natychmiast znalazła się na podłodze. Mitch zdjął koszulę i powoli rozpiął spodnie. Pochylił się nad nią, ujął w dło-

nie jej kształtne piersi, a potem wyszeptał coś wprost do jej ucha. Nie wiedziała co, ale od tego gorącego szeptu aż zakręciło jej się w głowie.

Zaskakiwał ją później jeszcze nie raz. W życiu codziennym konserwatywny i zorganizowany, w pieszczotach wykazywał się wyobraźnią bez granic. Gdy wreszcie poczuła go w sobie, krzyknęła, a potem szepnęła jego imię. Ich splecione ciała połączył wspólny rytm, którym zgodnie wspięli się na szczyt rozkoszy, by po chwili zapaść w cudowną błogość spełnienia.

Długo leżeli w zupełnej ciszy. Boże, co ja zrobiłam, pytała się w duchu Rosie, lecz, o dziwo, nie czuła wyrzutów sumienia. Zatrzymała wzrok na poduszce z wyhaftowanym napisem: „NA ZAWSZE TWÓJ”. Mitch również dostrzegł ten napis, uśmiechnął się i przytulił ją mocno. Po jej policzkach popłynęły łzy wzruszenia.

- Czy wiesz, że tak wyglądasz najcudowniej? - powie dział, siadając na brzegu łóżka.

Zawstydzona naciągnęła na siebie koc, on zaś znów wziął ją w ramiona i szepnął jej w ucho z wiele mówiącym westchnieniem:

- Zaczęliśmy kolejny etap naszej znajomości. Trudny etap, nie sądzisz?

- Jakoś nie żałuję tego, co się stało, szefie.

- Ja również, pani doktor, ja również.

Rozdział 10

Po południu wypogodziło się i Rosie namówiła Mitcha na krótki spacer. Przy okazji zrobili zakupy na wieczór - Rosie kupiła opakowanie krewetek, trochę pomidorów, cebulę i cytrusy, a na deser wiśnie w czekoladzie. Mitch był tym trochę zdziwiony, bo nigdy wcześniej nie robił tu zakupów ani nie gotował.

Godzinę później krzątała się po kuchni, przygotowując kolację, a równo o ósmej wkroczyła do salonu z półmiskiem pieczonych krewetek w sosie słodko-kwaśnym i talerzem gorących tortilli.

Mitch, który wcześniej nakrył do stołu, teraz otworzył butelkę wina i powiedział, wlewając do kieliszka odrobinę szkarłatnego płynu:

- Nadchodzi chwila prawdy. - Powąchał trunek, potem odważnie spróbował, a następnie podał kieliszek Rosie. - Spróbuj.

- Doskonale - zdumiała się wyjątkowo łagodnym smakiem.

- Też tak myślę. - Nałożył sobie na talerz kilka krewetek i tortillę. - A twoje potrawy są jeszcze lepsze. Masz więcej talentów niż myślałem - zażartował.

- Cóż, kiedy jedni uczyli się zarządzania finansami, ja uczyłam się gotować - odparła ze śmiechem.

Przyrządzony w domu posiłek smakował im o wiele bardziej niż smakowałyby najbardziej wykwintna kolacja w restauracji. Na nowym etapie znajomości łaknęli oboje zażyłości i poczucia wspólnoty. Nawet zwykłe zmywanie naczyń sprawiało im niezwykłą przyjemność, dając złudzenie domowej, swojskiej atmosfery.

Gdy skończyli, Rosie wyjęła z lodówki wiśnie.

- Jesteś gotów na deser?

- O, tak - przyznał. - Mam ochotę na coś słodkiego.

- Na zewnątrz jest tak pięknie. Może zjemy na tarasie? Wyjął jej z ręki pudełko i oparł ją o szafkę.

- Równie dobrze możemy je zjeść w łóżku - zaproponował, całując jej karminowe usta.

- W twoim czy w moim? - spytała niewinnie i otoczyła ramionami jego szyję.

W ciągu kilku najbliższych dni Mitch doszedł do wniosku, że musi się jeszcze wiele nauczyć od Rosie Galvez. Nigdy wcześniej nie próbował na przykład leżeć w trawie, obserwując chmury. Nigdy wcześniej nie puszczał latawców. I nigdy też nie przyglądał się cierpliwie, jak papają rozpina swoją sieć. Rosie pokazała mu, jak cieszyć się każdą chwilą. Namówiła go do spacerowania boso po plaży i nauczyła wypiekać tortille. Często pływali kajakiem, a docierając do odległych zatoczek, kochali się pod gołym niebem.

Nie uważał jej już za swoją podwładną. Nie zaangażowałby się przecież w związek z pracownicą. Rosie była profesjonalistką, która zobowiązała się wykonać dla niego pewne zadanie. Wykonała je, on również zakończył swoją pracę, mieli więc teraz czas tylko dla siebie.

Czuł się przy tej dziewczynie jak nowonarodzony. Ona nauczyła go, jak odpoczywać i cieszyć się życiem, on pomógł jej w zamian zatroszczyć się o sprawy zawodowe. Wspólnie zredagowali jej życiorys i umieścili go w Internecie, by łatwiej mogła znaleźć nową pracę.

Mitch nie starał się nawet zrozumieć swojej fascynacji. Ani ogromnego pożądanego. Zawsze lubił piękne kobiety, ale nigdy nie przeżywał tego, co teraz. Rosie była w stanie poruszyć w nim najgłębszą strunę, budziła w nim moc sprzecznych -lecz zawsze gwałtownych - uczuć. Bawiła go, innym razem denerwowała. I zawsze wzbudzała w nim

namiętność. Któregoś dnia, kiedy wyszła z łazienki ubrana w skąpy jaskrawo pomarańczowy kostium bikini, trzymając pod pachą sprzęt do nurkowania, zrozumiał, że jest pierwszą kobietą, która byłaby w stanie złamać mu serce.

Kochali się każdego wieczoru, a usypiali dopiero nad ranem. Powiedzieli sobie wszystko. Ona poznała jego nieszczęśliwe, samotne dzieciństwo. On wysłuchał burzliwej historii licznej rodziny Galvezów. Każdy szczegół miał jakieś znaczenie, wszystko wydawało się istotne. Nawet ilość pianki na kawie cappuccino i rodzaj karmy dla psów, którą kupowała co tydzień dla swoich pupili.

W trzecim tygodniu wspólnego pobytu na wyspie spokój leniwego dnia zakłócił dźwięk telefonu. Mitch zdziwił się. Na wyspie mało kto do niego dzwonił. Jego zdziwienie było tym większe, gdy okazało się, że rozmówca prosi do aparatu doktor Rosalindę Galvez.

Podał Rosie bezprzewodową słuchawkę, a sam wszedł do domu po szklaneczkę brandy. Zachmurzył się na myśl o telefonach i pilnych sprawach. Życie z dala od cywilizacji zaczynało mu się coraz bardziej podobać. Gdyby teraz miał wrócić do Seattle - miasta, które zawsze dawało mu gigantyczny zastrzyk energii - byłby przerażony. Nie mógł teraz uwierzyć, że spędził tyle lat w tym molochu i nie zwariował.

Uderzyło go jednak coś jeszcze - nie był w stanie powiedzieć, jakiego koloru są ściany w jego biurze, choć bez zająknięcia mógł wyrecytować kolor ścian każdego pokoju w Rainshadow Lodge. Czyżby praca przestała mu wystarczać?

Nalał brandy do dwóch szklanek i wrócił na taras. Rosie jeszcze rozmawiała.

- Dziękuję, doktorze - mówiła do słuchawki. - Do końca miesiąca dam panu odpowiedź. - Przez chwilę słuchała jeszcze swojego rozmówcy, po czym pożegnała się i wyłączyła telefon.

- Jakież wieści? - spytał Mitch, podając jej szklanekę.

Pociągnęła łyk i uśmiechnęła się tajemniczo.

- To była propozycja pracy.

- Tak szybko? - Niespodziewanie poczuł, jak robi mu się zimno ze strachu. Pewnie przedstawiono jej fantastyczną ofertę, która łączy się z wyjazdem na Florydę albo do Europy, albo nawet do Australii, gdzie już na pewno nie będzie mógł jej regularnie odwiedzać. - I co? - spytał ze ściśniętym gardłem.

- Na razie nie wiem. W każdym razie twój pomysł z umieszczeniem życiorysu w Internecie był genialny. Doktor Olsen z Instytutu Badań Dna Oceanicznego widzi mnie w swojej firmie. To ogromna instytucja, bogata i z prestiżem. Przyznaję, że trochę mną to wstrząsnęło.

Uklęknął koło niej i objął ją w pasie. Chciał zapytać, czy aby na pewno Instytut Badań Dna Oceanicznego mieści się w Seattle, zamiast tego pocałował jednak tylko jej śniade kolano i zapytał:

- Przyjmiesz tę pracę?

- To świetna oferta.

- Na to wygląda. - Podciągnął brzeg jej sukienki i pogładził ją po udzie. Po chwili jeszcze bardziej odsłonił gładkie nogi Rosie i zaczął ją delikatnie pieścić, aż wydała z siebie cichy jęk rozkoszy.

Nie mógł się dłużej powstrzymać. Podniósł ją i sam zajął jej miejsce na fotelu, przyciągając ją do siebie tak, by na nim usiadła. Rosie nachyliła się i złożyła na jego wargach długi, wilgotny pocałunek. Pachniała brandy.

Mitch zamknął oczy. Zaprzagnął nagle zatrzymać czas, zapomnieć, że ich pobyt na wyspie zmierza ku końcowi; że ona musi znaleźć pracę, a on wkrótce zajmie się innym projektem.

- Chcesz dowiedzieć się więcej o Instytucie? - szepnęła, uśmiechając się zmysłowo.

W odpowiedzi rozsunął suwak jej sukienki.

- Może później, kochanie, dobrze?

Nadszedł ostatni tydzień. Oboje desperacko bronili się przed nieubłaganie mijającym czasem, kochając się częściej niż dotychczas i wybierając do tego coraz bardziej niezwykle miejsca. Bywało, że rezygnowali ze śniadania, aby spędzić kilka dodatkowych chwil w intymnej bliskości na fotelu przy oknie lub na zabytkowej kanapie.

Dopiero teraz Mitch uzmysłowił sobie, że choć zna Rosie tak krótko, jest mu ona najbliższą osobą na świecie. Potrzebował jej. Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Tymczasem ona otrzymała jeszcze dwie propozycje pracy - jedną na Alasce, a drugą w San Diego. Był gotów błagać ją na kolanach, aby poczekała na ofertę z Seattle, nie wiedział jednak, że Rosie właśnie powrotu do Seattle boi się najbardziej.

Tak, ona też była w nim zakochana. Choć wcześniej z całych sił wmawiała sobie, że nie wolno jej się w nim zadurzyć, nie mogła nie posłuchać głosu serca.

Tyle że serce, jak to serce, nie brało pod uwagę rozsądnych argumentów. Te zaś mówiły, że Rosie zakochała się w Mitchu Rutherfordzie, który tańczył z nią przy muzyce ze starego fonografu, który kochał się z nią na tarasie w upalne popołudnie i pozwalał jej psom spać w swoim łóżku. Tymczasem Mitch z Seattle na pewno jest inny. Prowadzi ogromną firmę, pracuje po osiemnaście godzin na dobę, a jego sekretarka musi przypominać mu o urodzinach matki. Czy nie z takimi mężczyznami zadawała się wcześniej? Czy nie tacy zadali jej ból?

Choć więc serce krwawiło jej na myśl o rozstaniu z Mitchem, Rosie zdawała sobie sprawę, że ich związek nie ma w Seattle żadnej przyszłości. Zresztą oferta z San Diego była zbyt atrakcyjna, aby z niej rezygnować.

Kiedy jednak dwa dni przed końcem pobytu w Rainshadow Lodge Mitch wyszedł z domu opalony i uśmiechnięty, gotów do ostatniej wyprawy kajakiem, pomyślała, że lepiej zaczekać z obwieszczeniem mu tej decyzji.

- Dokąd płyniemy? - spytał, kiedy odbili od brzegu.

- Może do tej najdalszej zatoczki? - zaproponowała. - Tam, gdzie mieliśmy płynąć, kiedy tak strasznie padało.

Odwrócił się przez ramię i uśmiechnął się znacząco.

- Pamiętam ten dzień.

Kiedy dopływali do zatoki, jej myśli powróciły na chwilę do Seattle. Może jednak...

- Hej, Rosie! Co to może być? - Mitch wskazał wiosłem wgłębienie wśród skał, gdzie płytka woda omywała muszle i drobne kamienie, a rosnące wokół trzciny skrywały uplecione z roślinnych włókien gniazda.

- *Madre de Dios* - wyszeptała zdumiona. - Nie mogę uwierzyć, że to wypatrzyłeś...

- Ale... co wypatrzyłem?

- To obszar lęgowy żurawi - wyjaśniła. - Niewielu biologom udaje się natknąć na coś takiego. Niesamowite...

- Świetnie. Zrób zdjęcia.

Rosie przygotowała aparat już wcześniej, więc teraz tylko nacisnęła migawkę.

- Na całym świecie żyje tylko dwadzieścia siedem tysięcy osobników tego gatunku - powiedziała. - A tutaj mają swoje gniazda.

- Do licha, Rosie. Jesteśmy niesamowici, nie sądzisz?

Tej nocy Rosie mówiła niewiele, choć Mitch spijał wręcz każde słowo z jej ust.

- Myślisz o jutrze? - spytał, patrząc w jej milczącą, zadumaną twarz.

- Tak.

- Wiedzieliśmy, że ten miesiąc kiedyś się skończy.

- Mhm.

- Wiesz, Rosie, pomyślałem sobie właśnie, że...

- Tak? - zaniepokoiła się nieco.

- Chciałbym cię o coś poprosić.

Tym razem znieruchomiała. Boże, czyżby pomyślała, że zamierza

jej się oświadczyć i wystraszyła się tej perspektywy? Wprawdzie Mitch nie miał na razie takich planów, ale jakoś głupio by było widzieć w jej oczach taką rezerwę.

- Chodzi o te oferty pracy. Zdecydowałaś się już?

- Chyba nie.

Nie powiedział nic więcej. Uznał, że nie będzie zmuszał jej do cze-
gokolwiek ani nic sugerował. To nie była jego metoda. Rosie najwyraź-
niej myślała tak samo, bo westchnęła tylko głęboko i pogrążyła się we
śnie.

- Musimy się pospieszyć, jeśli mamy zdążyć na prom -powiedział
Mitch, wkładając do łódki dwie ostatnie walizki.

- Jestem gotowa. - Rosie weszła z psami na pomost. -Mam nadzie-
ję, że nie będę miała kłopotów z wezwaniem kogoś do mojego samo-
chodu.

- Już jest naprawiony. Załatwiłem wszystko, jak tylko tu przyjecha-
łaś.

Uśmiechnęła się zamyślona. Kiedy psy znalazły się na pokładzie,
pomogła Mitchowi odcumować łódź, on zaś włączył silnik, wyprowa-
dził łódź na morze, a potem podszedł do niej od tyłu i objął ją w pasie.

- Spójrz na dom - rzekła ze smutkiem. - Wygląda stąd jak bajkowa
chatka.

- Bo to, co w nim przeżyliśmy, było jak bajka. .

- Każda bajka kiedyś się kończy.

- No właśnie, Rosie - zaczął, odwracając ją do siebie. -Nie chciał-
bym jej kończyć. Między nami zdarzyło się coś ważnego, nie sądzisz?

- Tak, Mitch, ale...

- Poczekaj, pozwól mi powiedzieć. Dużo o tym myślałem i... i
chciałbym nadal się z tobą spotykać.

- Czy wiesz, jak bardzo pragnęłam to usłyszeć?

- A czy ty wiesz, jak bardzo bałem się o tym powiedzieć?

Uśmiechnęła się i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Pomówmy o tym później, Mitch, zgoda? Zanim dopłyniemy do promu, muszę jeszcze dopisać coś do mojego raportu.

- Myślałem, że wszystko jest już gotowe i budowa może ruszyć.

- Tak... to znaczy... został tylko mały szczegół. - Odwróciła głowę, a on natychmiast odgadł, że Rosie coś przed nim ukrywa. - Nie dodamy trochę gazu? - rzekła szybko, zmieniając temat.

- Racja. - Mitch zwiększył obroty silnika. - Na tej wyspie jedynie promy odpływają zawsze o czasie.

Ponowne zetknięcie z cywilizacją było dla niej szokiem. Na przystani powitał ją hałas odpływających statków, gwar ludzi i zapach hamburgerów. Kiedy siedziała za kierownicą swojego volkswagena, marzyła tylko o tym, aby szczelnie zasunąć szyby i po prostu zniknąć. Niestety, było to niemożliwe.

Mitch stał na kei, gdzie czekał na niego jego żółto-biały wodolot. Kiedy usłyszał jej kroki, odwrócił się i spojrzał na nią z wściekłością. Wiedziała, że przeczytał już sporządzony przez nią raport.

- Dziękuję bardzo, Rosie - rzekł z goryczą w głosie. - Świetna robota.

- Zrozum, Mitch...

- Oczywiście, teraz już rozumiem - uśmiechnął się gorzko. - Mieszkałaś ze mną, udawałaś przyjaciółkę, a nawet nie raczyłaś mnie poinformować, że zamierzasz sprzeciwić się rozpoczęciu budowy.

- Nie mogłam się zdecydować. Dopiero wczoraj podjęłam ostateczną decyzję.

- Ach, tak...

Poczuła, jak jej policzki płoną. Wiedziała, że Mitch ma prawo być wściekły.

- Mitch, posłuchaj... Jeszcze do wczoraj myślałam, że nowa przystań nie będzie miała negatywnego wpływu na przyrodę, ale kiedy natknę-

liśmy się na te gniazda, wiedziałam, że nie mogę ryzykować.

- Rany boskie, Rosie! Jeśli odrzucisz ten projekt, zrujnujesz życie mieszkańców wyspy! Zostaną bez pracy, upadnie turystyka!

- Jeżeli zniszczysz tamtejszą przyrodę, to wyspa i tak opustoszeje.

- Nie rozumiesz, Rosie, że ja nie zamierzam niczego niszczyć!? Wręcz przeciwnie - chcę budować! Przecież widziałas plany. Dobrze wiesz, że będę ostrożny. Zrobię wszystko, aby środowisko naturalne ucierpiało jak najmniej. Możemy to zrobić razem.

Zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy.

- Nie możemy. Czasami nic nie da się zrobić, Mitch. Nic. I nic na to nie poradzisz, choćbyś bardzo się starał.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszał z jej ust. Zaraz potem Rosie odwróciła się i odeszła, nie oglądając się za siebie.

RS

Rozdział 11

- Niech pan się nie martwi. List ze Świerkowej Wyspy to jeszcze nie koniec świata - powiedziała pani Lovejoy, wręczając Mitchowi pokazaną kopertę.

Podniósł wzrok znad biurka, mrużąc oczy pod wpływem słonecznego światła. Słońce było rzadkością w październiku, ale tego roku pogoda wyjątkowo dopisywała. Mitch miał ochotę rozluźnić krawat, rozpiąć guzik przy kołnierzyku koszuli i wyjść z biura na długi spacer.

- O czym pani mówi? - spytał w roztargnieniu. Od powrotu z Rainshadow Lodge zmienił się nie do poznania. Zamiast koncentrować się na pracy, co chwila wpadał na nowy szalony pomysł, którego, rzecz jasna, nie realizował.

- List polecony. Musiałam podpisać. Pieczętka ze Świerkowej Wyspy.

Odbierając przesyłkę z rąk pani Lovejoy, starał się nie okazywać zdenerwowania, choć nadawcą byli inwestorzy zainteresowani budową przystani.

- Świetnie - mruknął do siebie. - Teraz brakuje tylko tego, żeby wytoczyli mi sprawę. Zaangażowali tyle forsy w projekty, a tu - guzik.

Otworzył list i szybko przebiegł wzrokiem jego treść.

- O, do diabła! - zaklął.

- Co takiego? Tak dobrze czy tak źle? - spytała pani Lovejoy.

- Chcą zrezygnować z budowy przystani. Znaleźli coś, co może zapewnić znacznie więcej miejsc pracy.

- Naprawdę? Cóż to takiego?

- Proponują organizowanie wypraw kajakowych do miejsc, w których żyją wieloryby. - Rozłożył broszurę reklamową załączoną do listu. Na jednym ze zdjęć widniał Rainshadow Lodge, inne z kolei przedstawiały dwa psy, które wydały się Mitchowi dziwnie znajome. - Zabawne... - powiedział do siebie.

- Cholernie zabawne... - powtórzył, gdy jego wzrok padł na widniejący pod spodem napis: „Ten projekt jest w znacznej części sponsorowany przez Instytut Badań Dna Oceanicznego.”

- Dziwny zbieg okoliczności - zwrócił się do wciąż oczekującej wyjaśnień pani Lovejoy. - Pomysłodawcą nowego projektu jest organizacja, która chciała zatrudnić doktor Galvez.

- To nie jest zbieg okoliczności. Ona u nich pracuje. – Pani Lovejoy spojrzała na niego z miną niewiniątka. - Nie wiedział pan?

Nagle zaschło mu w gardle. Nalał do kubka wody mineralnej i wypił ją jednym haustem.

- Nie wiedziałem. Myślałem, że pracuje w San Diego.

- Może jej pan podziękować osobiście. Gdyby nie przedłożyła tej oferty, inwestorzy, którym budowa przystani przeszła koło nosa, dobraliby się panu do skóry. - Pani Lovejoy spojrzała na zegarek. - Jeśli się pan pośpieszy, złapie ją pan na przystani. Odpływa na Świerkową Wyspę promem o czwartej czterdzieści.

W jednej chwili znalazł się przy drzwiach. Zatrzymał się i z wazonu stojącego na biurku sekretarki wyjął trzy najpiękniejsze kwiaty, po czym wybiegł z biura.

W windzie zdjął krawat i marynarkę. Drogę do przystani przebył biegiem. Po raz pierwszy od kilku tygodni wiedział, że robi właściwą rzecz. Pomylił się co do Rosie, ale może zdoła naprawić swój błąd.

W pośpiechu minął tłum pasażerów, wbiegł na prom i rozejrzał się na wszystkie strony. Pani Lovejoy musiała pomylić godziny, pomyślał, patrząc na sznur samochodów wjeżdżających na dolny pokład. Rosie nie było na promie.

Nagle usłyszał coś, co sprawiło, że serce od razu zabiło mu żywiej - dźwięki salsy, dochodzące z wnętrza zdezelowanego volkswagena. Jak szalony zbiegł po schodach, odnalazł samochód wśród tłumu innych i zbliżył się do niego podekscytowany.

Na jego widok Freddy i Selena zaczęły wściekle ujadać. Podszedł do wozu od strony kierowcy i zajrzał przez szybę. Rosie podniosła wzrok, ujrzała go - i balon z gumy owocowej, który właśnie zdążyła wypuścić, pękł z cichym plaskiem, przyklejając się jej do warg.

Delikatnie odkleił gumę z karminowych ust i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, pochylił się i pocałował ją namiętnie. Czuł, jak w niemym proteście zaciska wargi, lecz już po chwili rozluźniła je, poddając się jego delikatnej pieszczocie. Kiedy zaś się odsunął, westchnęła błogo z zamkniętymi oczami, jakby czekała na więcej.

- O co chodzi, Mitch? - spytała po chwili pozornie beztroskim tonem.

- To dla ciebie. - Podał jej kwiaty.

- Dziękuję. Domyślam się, że wiesz już o nowym przedsięwzięciu.

- Owszem. I myślę, że to genialny pomysł.

- Zjawiłeś się, żeby mi podziękować, że wyciągnęłam cię z kłopotów?

- Tak. To znaczy nie! Do licha, nie, Rosie, nie tylko...

- W takim razie dlaczego czekałeś aż do dzisiaj?

- A dlaczego mi nie powiedziałaś, że zostajesz w Seattle?

- Dlaczego ty nie powiedziałaś mi, że to w ogóle cię obchodzi?

Bez namysłu otworzył drzwi, wyciągnął ją samochodu i oparł o maskę.

- Obchodzi mnie wszystko, co dotyczy ciebie! - zapewnił ją gorąco.

- Tęskniłem za tobą, Rosie!

- Naprawdę?

- I przepraszam, że tak się zdenerwowałem, kiedy przeczytałem twój raport. To wszystko dlatego że ja... ja ciebie kocham, Rosie.

- Jesteś pewien? - Z wrażenia zjechała po pochyłej masce „garbusa” jak po zjeżdżalni.

- Tak - odparł z przekonaniem, zdumiony, że te słowa przysły mu tak łatwo. Ukląkł przy niej i przycisnął jej dłoń do ust. - Zmieniłaś całe moje życie. Dlatego od ciebie uciekłem. Bałem się...

- Mnie? - spytała zdumiona.

- Ciebie. Siebie. Wszystkiego. Ale jest coś, co przeraża mnie jeszcze bardziej. To życie bez ciebie, pani doktor.

Łzy spłynęły po jej policzkach.

- Tylko proszę cię, nie płacz. - Zaczął szukać w kieszeniach chusteczki.

- Jak mam nie płakać, kiedy ja też cię kocham! - Rozbeczała się na dobre. - A przecież powiedziałam sobie, że do mnie nie pasujesz, że od takich facetów powinnam trzymać się z daleka...

- Jestem inny niż tamci, Rosie. Zmieniłem się - przekonywał ją z zapalem. - Praca nie jest już dla mnie wszystkim. Czy wiesz, że w ostatni czwartek poszedłem wieczorem na kręgle?

- A wiesz jaki jest obecnie stan mojego konta? Po prostu zapytaj. No, zapytaj...

- Jaki, Rosie?

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dziewięć dolarów i pięćdziesiąt cztery centy! - oznajmiła triumfalnie.

W odpowiedzi pocałował ją jeszcze raz. Tym razem dłużej, namiętniej.

- Wyjdź za mnie, Rosie - szepnął. - Kiedy chcesz, gdzie chcesz, ale wyjdź.

- Niczego bardziej nie pragnę. Nie mogłam o tobie zapomnieć.

- Więc powiedz „tak”. Nie musimy tu mieszkać. Możemy wyjechać na wyspę, do Afryki, na Księżyc, gdziekolwiek zechcesz. Zgodzę się na wszystko.

- Ale pod jednym warunkiem - dodała, uśmiechając się figlarnie.

- Spełnię każdy!

- Chcę, żebyśmy każdego roku wyjeżdżali na cały sierpień do Rainshadow Lodge. Co roku, do końca życia.

- Czy wiesz, że to miał być mój prezent ślubny dla ciebie, najdroższa?

RRS